Nr. 3 Poznań, dnia 17 stycznia 1909 r. Rok XIII.

Abonament wynosi kwartalnie na poczcie . . . 1,50 z odnoszeniem do domu . . 1,62 pod opaską . . 2,75

PRACA

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 38
Telefon Nr. 97.
Ogłoszenia: od wiersza drobnego 30 fen.

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Treść: Na widowni. — Marya Stuart Juliusza Słowackiego — Marya Stuart. — Z podróży po Słowiańszczyźnie węgerskiej. I. — Cesarz nie zna Polaków. — Z ojczystych stron: Szubin. (Dokończenie). — Przyczyny upadku Polski. (Ciąg dalszy). — Zajaśniały. (Wiersz). — Trzęsienie ziemi. (Ciąg dalszy). — Wezyrowie, Molahowie i lud w Persyi. (Dokończenie). — Nowe książki, konkursy i treść pism. — Wiece i zebrania. — Przedpłata na bieżący kwartał. — Śmierć Wernyhory. Baśń ukraińska. — Pieśń Wernyhory. (Wiersz). — Czterdziestaszósta rocznica powstania styczniowego. — Ochotnicy. (Wiersz). — Odszukane skarby. — Tatuś nie ma czasu. (Nowela z włoskiego). — „Telegrafowanie" myśli. — Wiadomości. — Nekrologia. — Od Redakcyi. — Kalendarzyk historyczny. — Humor i satyra. — Łamigłówka. — Ogłoszenia.

Powieści: Czarna ręka. (Ciąg dalszy). — Rozczarowanie. (Ciąg dalszy).

Illustracye: albumowa: Wernyhora, lirnik ukraiński. — Juliusz Słowacki. — Grupa ludu słowackiego. — Ruiny zamku Ścibora w Beckowie. — Zakład wychowawczy dla chłopców w Szubinie. — Kościół parafialny i probostwo w Szubinie. — Kaplica św. Małgorzaty w Szubinie. — Trzeci akt „Wesołej wdówki" na scenie poznańskiej. — Wacław Pawliszak. — Wodzowie powstania z roku 1863-go. (Trzy ryciny). — Śmierć wygnańca w kopalni sybirskiej. — Dwie siostry. — Rycina humorystyczna: Zbyteczne kwalifikacye.

Na widowni.

Kompromis zawarty pomiędzy cesarzem a kanclerzem, po znanych zajściach, wywołanych niefortunną publikacyą sensacyjnych rozmów angielskich cesarza, efemeryczny tylko miał żywot. Przy obchodzie jubileuszu ordynacyi miejskiej nałożył sobie cesarz dużo powściągliwości co prawda, odczytując swą przemowę z karty, podanej mu przez kanclerza. Jednakże nadarzył się dzień 1-go stycznia, a z nim tradycyjne przyjęcie jenerałów korpuśnych na zamku. Przy tej okoliczności zwykł był cesarz zazwyczaj przemawiać. Tym razem nie miał cesarz oficyalnej przemowy, lecz w nie mniej dosadni sposób uwydatnił swe poglądy na sytuacyę polityczną w świecie, gdyż odczytał długi artykuł strategiczno-polityczny jenerała hr. Schlieffena, najeżony tyloma szpilkami, skierowanemi w stronę Anglii i Francyi i przedstawiający międzynarodowe położenie Niemiec w świetle tak jaskrawem, że cała ta sprawa znowu nowe zaniepokojenie wywołała w niespokojnej już bez tego Europie. Wydarzenie to wykazało, jak płonnem było przedsięwzięcie, mające na celu ograniczenie cesarskiej elokwencyi. Jestto zresztą rzeczą zupełnie naturalną, że ktoś, przyzwyczajony od dwudziestu lat do bezwzględnego wypowiadania swych poglądów, nie może naraz zamilknąć, szczególniej, jeżeli jest osobistością tak samodzielną i impulsywną, jak Wilhelm II. Ze strony oficyalnej oświadczono, że cesarz solidaryzował się tylko ze strategiczną stroną wspomnianego artykułu, a na zawarte tam polityczne wywody nie zwracał uwagi, lecz oświadczenie to nie mogło zaspokoić nikogo.

Artykuł ten byłby był prawdopodobnie daleko więcej wrzawy w świecie narobił, gdyby uwaga publiczna nie była w tak wysokim stopniu skierowana w stronę południowych Włoch. Okropna katastrofa, która tak liczne i straszne pociągnęła za sobą straty w ludziach i materyalnem bogactwie, która szereg miast i osad literalnie zmiotła z powierzchni ziemi i zapełniła świat cały jednym okrzykiem zgrozy, więcej, jak wszelkie kongresy pokojowe przysłużyła się sprawie pokoju. Każde nieszczęście bowiem ma to do siebie, że donośnym głosem przypomina ludziom ich wspólność i budząc w sercach współczucie, raczej do pomocy czyni ludzi pochopnych, niż do gwałtownych czynów wojennych. To też ze wszystkich krajów pospieszono nieszczęśliwym Włochom z pomocą. Szczególniej świat katolicki, zachęcony wzniosłym przykładem Ojca św. i wezwany osobnemi orędziami biskupów, milionowe sumy zbiera na pozostałych. I my Polacy nie pozostaliśmy za innemi narodami w tyle, lecz wdowim groszem przyczyniliśmy się do ulżenia straszliwej nędzy nieszczęśliwych. W Mesynie, a raczej na ruinach Mesyny, gdyż wielkie to niedawno temu miasto nie istnieje, ogłoszono stan oblężenia. Było to potrzebne raz z powodu niezmiernego natłoku ciekawych, których nigdzie nie braknie, i ze względów zdrowotności publicznej, powtóre niestety, by utrzymać w karbach liczne szajki hyen ludzkich, które na dymiących zgliszczach, na dygocącej jeszcze od wstrząśnień ziemi wykonywały swój ohydny proceder obdzierania zabitych i rannych z tchórzliwem okrucieństwem szakali. Zaiste, kto czytał okropne opisy czynów tych ludzi, odartych z wszelkich cech człowieczeństwa, zadrżał w głębi duszy nad straszliwą złością ludzkiej natury. Możnaby rzeczywiście zwątpić o człowieku, gdyby z drugiej strony tym okropnościom potwornym nie przeciwstawiała się ofiarność i poświęcenie lepszej i większej części ludzkości, ratującej imie człowieka przed wyrokiem potępienia. Jak donoszą gazety włoskie całemi setkami rozstrzelano tych złoczyńców, którzy nawet z okropności tak wstrząsającego nieszczęścia potrafili uczynić dla siebie obfite źródło ohydnego dochodu. Jednakże jeszcze inne pojawiły się tam hyeny i to nie tylko w Mesynie, lecz w Neapolu, dokąd przewieziono całe transporty rannych i sierot. Potworzyły się tam całe szajki ludzi z pod ciemnej gwiazdy, którzy urządzili prawdziwe polowanie na młode, bezdomne dziewczęta, przywożone okrętami z krainy niedoli, by je pod kłamliwemi pozorami dobroczynności łowić dla domów rozpusty.

Początkowo obiegały pogłoski, jakoby rząd włoski zamierzał do reszty zburzyć sterczące jeszcze ruiny Mesyny, i zaniechał planu odbudowania miasta. Informacye te były mylne. Mesyna tak samo Reggio powstaną na nowo z gruzów, a rząd włoski udzielać będzie pożyczek bezprocentowych na budowę domów.

Na Bałkanie nowe się zebrały chmury, gdy serbski minister spraw

zagranicznych Milowanowicz wypowiedział ostrą przeciwaustryacką mowę w skupczynie w sprawie bośniackiej. Obecnie sprawa ta załatwiona, gdyż rząd serbski wytłumaczył się przed Austryą na energiczne z jej strony wezwanie.

W Turcyi trwa nadal bojkot towarów austryackich, a także i bułgarskich. Mimo to horyzont polityczny na bliskim wschodzie się wypogadza, z przyczyny lojalnego stanowiska, jakie Austrya zajęła wobec Turcyi.

Mianowicie ofiarowała Austrya Turcyi tytułem odszkodowania za aneksyę Bośni i Hercegowiny 60 milionów koron odszkodowania, na co się Turcya zgodziła. Oprócz tego zgadza się Austrya na zaprowadzenie w Turcyi pewnych monopolów — pomiędzy niemi, monopolu na zapałki — jako też na podniesienie ceł tureckich z jedenastu na 15 procent. Ponieważ Austrya eksportuje do Turcyi głównie zapałki, cukier i fezy przewidują ekonomiści austryaccy z powodu tych ustępstw wielkie przesilenie w tych gałęziach przemysłu austryackiego, a szczególniej w przemyśle zapałkowym. Jakkolwiek by było ustępliwość austryacka wobec Turcyi zaklęła zdaje się stanowczo krwawe widmo wojny, chyba jaki nierozumny krok ze strony Serbii lub Czarnogóry mógłby na nowo położenie zaostrzyć.

W dalekich Chinach wydarzył się wypadek bardzo symptomatyczny. Książę regent Czun złożył wszechpotężnego dotychczas męża stanu Juanszikaja z wszystkich przezeń piastowanych urzędów i posłał go na wygnanie. Juanszikaj był mężem zaufania zmarłej cesarzowej, zwolennikiem rozumnych reform i działał w kierunku pojednania zwalczających się wzajem Chińczyków i Mandżusów. W obawie zasadniczych zmian w polityce niebieskiego państwa remonstrowali przeciw wypędzeniu Juanszikaja przedstawiciele Anglii, Japonii i Stanów Zjednoczonych Ameryki, lecz rząd pekiński wyprosił sobie to mieszanie się do swoich spraw.

Podczas gdy to się dzieje, czteroletni cesarz chiński przygotowuje się do przyszłego urzędu władcy nad ludem 400 milionowym. Zamknięty coraz to w innym z niezliczonych pawilonów t. zw. zakazanego miasta, jest młody cesarz więźniem swoich sług. Za młody, by mógł przyjmować hołdy, należne jego wysokiej godności, nie wykonuje także tradycyjnych ceremonii, poświęconych zmarłemu cesarzowi. W czynności tej zastępuje go inny książę. Mimo to niezadługo mały Puyi będzie musiał przedsięwziąć jeden z najbardziej odpowiedzialnych aktów monarszych. Z chwilą bowiem, kiedy drobne jego ręce utrzymać będą mogły pędzel (w Chinach piszą pędzlem) przedłożony mu będzie spis nazwisk osób skazanych na śmierć. Na spisie tym namaluje mały cesarz koło. Czyje nazwisko objęte będzie tem kołem — ten natychmiast zostanie straconym. Czynność ta — długie lata zapewne pozostanie jedyną czynnością urzędową cesarza i dopiero później pozna on jej ponure znaczenie. Tymczasem będzie się spokojnie odbywać wychowanie cesarza według tradycyi uświęconej wiekami. Będzie się uczył na pamięć owych trzystu tomów klasycznej chińskiej literatury i będzie ślęczał nad wyuczeniem się pisania i odczytywania owych tysiącznych skomplikowanych i nieskończenie różnolitych znaków pisarskich, które znać powinien Chińczyk wykształcony...

W Maroku śmierć Muley Mahometa, który jako najstarszy syn sułtana Hassana niebezpiecznym był dla Mulay Hafida współzawodnikiem, uwolniła tegoż od wielkiej troski. Pogłoski chcą, jakoby brat sułtański nie umarł naturalną śmiercią, lecz padł ofiarą trucizny.

W Berlinie we wtorek rozpoczęły się na nowo prace w sejmie i parlamencie. Minister finansów von Rheinbaben przedłożył już izbie poselskiej projekt etatu na r. 1909. Obecna sesya tak w sejmie jak w parlamencie bardzo będzie doniosła, gdyż szereg najważniejszych spraw stoi na porządku obrad, pomiędzy niemi naprawy finansów w Rzeszy, o której już szeroko pisaliśmy na tem miejscu.

Jaka tylko była na tej ziemi myśl ciepła, porywająca serce, sięgająca w dal nieskończoną, zawsze jej towarzyszyła z zapałem, czasem stawała na czele — kobieta. Trzeba im przyznać, iż prawie całkiem nie widać ich tam, gdzie się rozszerza jakaś idea na szkodę ludzkości. Nieporównany ich instynkt, osobliwszy dar łaski Bożej, użyczany w plemieniu męskiem tylko geniuszom pierwszego rzędu, a i tym jeszcze nie wszystkim, zawsze je prowadzi do celów szlachetnych, prawdziwych i pięknych.

Zygmunt Kaczkowski.

* * *

Kto od umiejętności więcej wymaga niż co mu daje, to jest więcej niż samego rozjaśnienia i zaspokojenia ducha: ten niechaj się nie udaje przed jej ołtarze. Umiejętność nie jest ani fabryką, ani młynem, ani młockarnią, ani garkuchnią.

B. F. Trentowski.



Marya Stuart

Juliusza Słowackiego.

Rok bieżący — to rok jubileuszowy wielkiego twórcy Króla-Ducha. Społeczeństwo polskie trzech zaborów gotuje się do uroczystego obchodu stuletniej rocznicy urodzin wielkiego poety, słuszna zatem, żeby i teatr, instytucya, około której Słowacki wielkie położył zasługi, przyczynił się do uczczenia nieśmiertelnej pamięci największego dotąd dramaturga polskiego. Z tej chęci zbożnej zrodziła się myśl wskrzeszenia na scenie naszej jednej z mniej granych tragedyi tego mistrza, „Maryi Stuart.“

Tragedya ta należy — jak wiadomo — do młodocianych dzieł poety. Pojawiła się ona roku 1830, gdy twórca jej liczył zaledwie lat 21, w trzy kwartały po napisaniu „Mindowy“, który to dramat niektórzy krytycy — w ich liczbie Stanisław Tarnowski — uważają za najświetniejszy z dzieł młodzieńczych Juliusza. Inaczej sam Słowacki, który — jak zapewnia — dobrze czuł wszystkie niedostateczności „Mindowy“ i przynajmniej części błędów w „Maryi Stuart“ uniknąć się starał.

Jakoż przyznaje mu Małecki, że „Marya Stuart“ z wielu względów przewyższa „Mindowę.“ Już sam początek — powiada — wzbudza wielkie oczekiwanie. Zawiązanie intrygi zręczne. Nakreślenie charakterów zdaje się być szczęśliwe, wykonane ręką pewną i wprawną. Wstępne sceny przemawiają doraźnie do wyobraźni i coraz więcej obudzają zajęcia. Co krok miejsca silne, porywające, prześlicznie pomyślane, wyrażone najcudniejszym wierszem, jakim kiedykolwiek pisano po polsku. Już pewność czytelnika ogarnia, że ma przed sobą utwór pierwszego rzędu, jednę z pereł dramatycznej poezyi naszej. W tem — rozpoczyna się akt III., a w nim coś się akcya zaczyna wikłać, ogniwo łańcucha zdarzeń, dotąd prowadzonego tak dzielnie, pęka, charaktery owiewa jakby mgła jakaś, która nie dopuszcza dojrzeć aż w samo ich wnętrze, coś się w nich paczy, zdaje się, jakby się ich role poprzemieniały — współczucie widza chwieje się.....

Ramy obrazu Słowackiego — powiada Małecki o „Maryi Stuart“ — są dość szczupłe. Nie zamierzał on, jak Schiller, wciągnąć w zakres dzieła swojego całego historyzmu danej epo-



Juliusz Słowacki

ur. 23 sierpnia 1809 r. w Krzemieńcu z ojca Euzebiusza, profesora Krzemienieckiego liceum, od r. 1811 profesora wileńskiej wszechnicy, i matki Salomei z domu Januszewskiej. Umarł w Paryżu d. 3 kwietnia 1849 r. Obecnie czynią się przygotowania celem przeniesienia prochów poety do kraju, lecz nie zgodzono się jeszcze na miejsce wiecznego spoczynku dla szczątków poety. Juliusz sam życzył sobie być pochowanym na cmentarzu Krzemienieckim pod cieniem znanej czereśni, która tam grób dziada i babki jego ocienia. Potomność wszakże wspanialszy grobowiec mu przeznaczyć zamierza.

ki. W głębi zdarzeń, na pierwszym stawionych planie, nie odsłania żadnych przebojów dziejowych ogólniejszego znaczenia, których związek z zabiegami ludzi dramatu podnosiłby bohaterkę i tych, co ją otaczają, na wysokość prawdziwie historycznych postaci... Zgromadził natomiast całe światło obrazu właściwie na jednej tylko postaci. Spoczął wzrokiem swoim na niepospolitych rysach jej indywidualnej natury, na nadzwyczajnych kolejach jej życia, uważanego z ogólnie ludzkiego stanowiska. I tak stawił przed sobą zadanie, które mimo że sprowadza koronowaną osobistość dziejową na poziom prywatnej niemal niewiasty, tyle jednak ma stron w wysokim stopniu zająć jeszcze mogących wyobraźnię każdego, tyle warunków prawdziwej dramatyczności, że krytyka patrząca, jak sprawiedliwie, tego tylko, co dać autor zamierzył, a nie czegoby sobie kto może życzył, nie ma pod tym względem nic do zarzucenia poecie.

Porównując dramat szylerowski tegoż tytułu z dramatem Słowackiego, uważa Małecki arcydzieło Szylera, jako skończony utwór sztuki, wzięty w całym swoim ogóle, za nieporównanie wyższe od tragedyi Juliusza. Gdyby atoli chodziło o porównanie ze sobą samych tylko bohaterek w jednym utworze, a drugim, to — zdaje mu się że porównanie takowe wypadłoby pod artystycznym względem na korzyść takiej Maryi Stuart, jaką polski poeta w dziele swojem wprowadza.

Heroina Szylera jest nierównie mniej dramatyczna. Jej cierpienia, jej smutny koniec, nie są to wyniki winy, którąby była zaciągnęła sama; są to wszystko raczej, jak wiadomo, następstwa okoliczności od niej niezawisłych. Tymczasem warunkiem prawdziwej tragiczności w losach człowieka jest nieodzownie pewien własny i umyślny współudział jego w powodach, które na posępny obrót jego doli wpłynęły.

Słowacki wybrał sobie inną niż Szyler chwilę życia Maryi Stuart. Ukazał jej wizerunek z całym urokiem niewieścim, z ową dumą monarszą, która później dopiero miała doznać upokorzenia: z pędem temperamentu niezłamanego żadnemi jeszcze ciosami losu, pod wrącym skwarem namiętności, jakie się dopiero rozbudzały w jej sercu. Rola tak pomyślana łączy w sobie wszelke warunki świetnego powodzenia na scenie. Postępki i przeboje, uczucia i koleje, jakie bohaterka jego popełnia, stacza, przechodzi — są tu wypływem jej własnej inicyatywy. Odpowiedzialność za wszystko spada jedynie na nią. Źródło wszystkiego, co czyni i wszystkiego, co cierpi, jest w niej samej.

Uznając w zupełności artystyczne zalety wyboru tematu, zarzuca Małecki poecie, iż dzieło jego etycznemu zadaniu dramatu nie czyni zadość. Twierdzi, że uwaga jego nierównie mniej była zwrócona na potrzebę pokonania trudności, wynikających z etycznych wymagań dramatu, jak na osiągnięcie silnych poetyckich efektów.

I ta to właśnie okoliczność odebrała utworowi jego ów wdzięk muzyki rzewnie przemawiającej do serca, ową wspaniałość obrazu, pod którego barwami czujemy przytomność, jakiejś wielkiej idei, słowem ono znamię wyższej kreacyi. Główny powód tego niedomagania upatruje Tarnowski w wrodzonym defekcie talentu Słowackiego: w niedostatecznej jasności myśli, niezgodności między zamiarem a wykonaniem. Małecki kładzie to na karb właściwego Słowackiemu technicznego artyzmu — źle zrozumianego romantyzmu formy — który bardzo często wychodzi na to samo, co genialny kaprys, co niezawisłość najzupełniejsza od wszystkiego, co pozytywne, co jakiemukolwiek rozważaniu podlegające, co przez techniczne wymagania kompozycyi warunkowane. To sprawiało, że więcej on zawsze tylko natrącał i napomykał, nawięzywał i urywał, jednem więc słowem szkicował i fragmentyzował, aniżeli żeby miał był wszystkie przejścia kreacyi swojej wykonywać szczegółowo, w równej mierze i w nieprzerwanym ciągu. Cała sztuka jego (oczywiście mowa tu o dziełach przypadających na pierwsze lata poetyckiego zawodu poety) polega na tem: rzucać pełnemi garściami światła na stanowcze tylko momenta, a resztę zostawiać w cieniu, jeżeli nie zupełnie poza ramami obrazu. Sprawiać wielkie wrażenie sporadyczne — oto główny cel owoczesnej twórczości Słowackiego zdaniem Małeckiego.

Mogłaby wybaczyć poecie, gdyby się to zaniedbywanie epizodyczne, odnoszące się do pośledniejszych części dzieła, uwydatniało do wiersza, do języka, do innych tym podobnych zewnętrzności poetyckich. Niestety dotyczy ono u niego samejże rzeczy, obmyślania osnowy, dotyczy samej kompo-

zycyi, wiązań budowy, częstokroć samych fundamentów. I to jest właśnie fatalna strona tej maniery, wielce powabnej skądinąd. Cóż bowiem z tego, że stanowcze chwile i wydatniejsze ustępy są oddane z całą świetnością geniuszu? Jeżeli tych chwil walnych *powody*, jeżeli tych ustępów potężnych *wiązanie* polega na jakichś kruchych, wątłych tylko premisach, a krytycznej próby nie wytrzymuje. W takim razie i to wszystko, co na tem oparte, zawisło jakby w powietrzu i nie może wywierać prawdziwie głębokiego wrażenia. Uderza i podoba się w pierwszej chwili, po dłuższem zastanowieniu nie zaspakaja.

Do takich niedomagań w „Maryi Stuart“ należy pomiędzy innemi powtórne zawezwanie przez królową Rizzia, nieuzasadnione niczem przez poetę. Następnie rzucenie się Maryi w objęcia Botwela. Ze słów Botwela gotowiśmy wnosić, że nastąpiło to na skutek wstrząśnienia, jakie Marya doznała na widok mordowanego Rizzia, jednakże upadek królowej, jako i samo przybycie Botwela o tej porze w to miejsce nie jest bynajmniej przypadkowe. Już przedtem wezwał paź królowej Botwela na tę godzinę, na jej wyraźny rozkaz, a już w poprzedniej scenie, gdy jeszcze Rizzio był przy życiu, widzieliśmy Maryę gotową do tego kroku. Wprost fatalne wrażenie wywiera cała ta scena w akcie piątym, w której Marya broni Botwelowi poświęconej lampy do wysadzenia miny, mającej śmierć przynieść Darnleyowi. Kobieta, która chce śmierci męża, zgadza się na jego zamordowanie i sama do tego ohydnego czynu rękę przykłada, nie powinna się cektować, gdy przyjdzie wysadzać prochy, choćby *poświęconą lampą*.

Otóż w takich to niedokładnościach kompozycyi upatruje Małecki ostateczną i najgłówniejszą przyczynę, dlaczego „Marya Stuart“, zaspakajając w tylu najświetniejszych ustępach w tak wysokim stopniu wymagania *artystyczne*, nie czyni jednak zadość *etycznym* dzieła poetyckiego warunkom. Jeżeli w którem dziele, to w tej właśnie tragedyi uderza to ogólne spostrzeżenie co do natury całego sposobu, właściwego Słowackiemu w początkowych latach jego poetyckiej czynności, że bez porównania więcej jego jest rzeczą porywać, zadziwiać i zapalać wyobraźnię czytelnika czy widza, aniżeli umieć zająć myśl jego i prowadzić ją krok za krokiem, jak służebnicę woli swej — do celu, o który chodzi.

Przyznając zupełną słuszność wywodom Małeckiego, nie możemy nie przytoczyć na częściowe uniewinnienie poety zdania Brueckner a. Uczony ten zaznacza, że Słowacki pisał swe dramaty z zupełnem wykluczeniem teatru, jako dzieła przeznaczone raczej dla czytelnika niż dla widza. Stąd owe zrezygnowanie z ścisłej kompozycyi, nieuwydatnianie najpełniejszych scenicznych efektów, pewna niedbałość faktury, np. niedostateczne motywowanie pojawiania się i odejścia niektórych figur, uwydatnianie zbytecznych motywów, nie stojących w ścisłym związku z całością, jaskrawość niektórych scen i postaci, któraby z pewnością przez autora złagodzoną została, gdyby był mógł oglądać swe dzieła na scenie. Błędy te — szczególniej w młodzieńczych dziełach autora — zniweczyły powodzenie sceniczne; znachodzą się one także w późniejszych tragedyach Słowackiego; dla tych powodów żaden z jego dramatów nie jest zupełnie bez zarzutu, z drugiej strony jednak, każda z jego tragedyi zawiera sceny tak świetne, tak potężne, że może ich zazdrościć każdy dramaturg światowej sławy.

* * *

Na scenie naszej dramat Słowackiego w godnej podano szacie. Inscenizacya, umeblowanie stylowe, kostyumy występujących osób były bez zarzutu, owszem przewyższały pod wielu względami dość śmiałe nawet oczekiwania. Natomiast pod względem obsadzenia ról nasuwają się wątpliwości. Już sama tytułowa rola spoczywała — według nas — w rękach nie zupełnie odpowiednich. Panna Turowiczówna jest nader dodatnią siłą w sztukach salonowych. W dramacie, gdzie chodzi o wydobycie wielkich, potężnych akcentów, nie wystarcza ani gest artystki, nie dość patetyczny, ani jej zasoby głosowe, które w chwilach wysokiego napięcia zawodzą. Nie pojmujemy wprost, dlaczego tej roli nie oddano pani Bogusińskiej, artystce, którą wogóle o wiele za rzadko widzimy na deskach, a która, dzięki swojemu wybitnemu talentowi, stanowi prawdziwą ozdobę naszej sceny. Pisząc to, nie chcemy bynajmniej ubliżyć p. Turowiczównie. Mamy wielki szacunek dla jej subtelnego artyzmu, lecz pragniemy widzieć ją jedynie w rolach takich, które rodzajowi jej talentu odpowiadają.

Również nieodpowiednio obsadzono rolę Mortona i Lindsaya. Są to wprawdzie postacie podrzędne w dramacie, mimo to nie powinny być blade — jak Morton — lub wręcz komiczne, jak Lindsay.

Niewdzięczną i trudną rolę wiecznie niezdecydowanego, wiecznie chwiejnego Darnleya, objął p. Bogusiński i uzmysłowił tę nicość męską z dość znacznem powodzeniem. Niezły był Duglas p. Szatkowskiego. Także astrolog w osobie p. Czerniaka, jak paź w osobie p. Stawińskiej dobrych znaleźli reprezentantów. Rizzio, którego — nie wiemy dla czego — z uporczywą złośliwością nazywano Riczio, wypadł w interpretacyi p. Kęckiego dość sympatycznie. Ponurą postać Botwela, złego ducha Maryi i mordercę jej nikczemnego męża, uwydatnił p. Andruszewski z talentem, należycie akcentując tajemniczy, demoniczny pierwiastek, utajony w charakterze tej niepospolitej postaci. Najgłębszą naturą i najlepiej w całej tej tragedyi przeprowadzoną figurą jest błazen króla jegomości Nik. Jestto kopia wprawdzie znanych błaznów szekspirowskich, lecz w scenie zgonu niknie ten pokost obcy, a odsłania się przed oczyma widza cała potęga i rzewność właściwa Słowackiemu i owiewa tę postać urokiem, jaki tylko Słowacki wyczarować potrafi. Nik w chwili zgonu jest najbardziej oryginalną z wszystkich postaci Słowackiego. Cała ta scena zaś należy do najpiękniejszych, jakie literatura powszechna wydała. Szkoda, wielka szkoda, że pan Junosza, który zresztą znakomicie grał tę rolę, w scenie tej mówił tak dyskretnie, że tylko ten, kto znał tę scenę z lektury, mógł należycie treść jej pochwycić. Mimo to gra p. Junoszy wielkie wywarła wrażenie i kreacya jego na zupełne zasługuje uznanie — pod względem koncepcyi i oddania artystycznego była ona bez zarzutu, pięknym dowodem wybitnego talentu artysty.

Całość — mimo zarzutów, jakie tu podnieść uważaliśmy za stosowne, wypadła godnie i okazale. Publiczność zgromadziła się licznie, lecz sztukę przyjmowała chłodno. Zdaje się, że stało się to raczej z winy autora, aniżeli artystów. R.

* * *

Młodociane lata Maryi Stuart.

Postać nieszczęśliwej pięknej królowej szkockiej, którą poeci innych narodów niezwykym otoczyli blaskiem czaru romantyzmu, z taką pociąga siłą każdego historyka, że coraz więcej mnoży się dzieł o Maryi Stuart.

I teraz wychodzi znowu w Londynie obszerne dzieło Jane'a T. Stoddarta, traktujące tylko o latach dziewczęcych późniejszej królowej, przedstawiające na ciemnem tle bogatych w krwawe czyny i prześladowania czasów, jasny, czysty obraz rozkosznego kwiatu życia. Na małej młodocianej księżniczce nie widać ani cienia owego demonicznego uroku, który późniejszemi laty jej istotę znurzył był, geniusze szczęścia, piękna, mądrości i potęgi otaczają jej kolebkę — nikt nie przeczuwał, że na drugim krańcu te-

go takiem szczęściem opromienionego jestestwa krwawy szafot stanie.

Gdy Maryę z ukończonym piątym rokiem przywieziono do Francyi, aby tu odebrała jak najstaranniejsze wychowanie, wkrótce się stała ulubienicą całego dworu. Babunia jej literalnie w niej była zakochaną, powtarzając raz po razie, że jest istotnie bardzo rozkoszną i tak mądrą, jak tylko dziecko być może. Ze słów babuni dowiadujemy się po nadto, że mała Marya jest szatynką o niezwykle pięknej cerze twarzy, że gdy podrośnie, będzie śliczną panienką, bo jej rysy są delikatne i szlachetne, a płeć biała. Dolną część twarzyczki ma dobrze ukształtowaną, oczka ma małe, dość głęboko w oczodołach osadzone, cała zaś twarz jest średnio podłużną. W końcu mówi o niej jej babunia, że jakiś dziwny czar ma w sobie oraz pewność siebie, słowem: jest pociechą wszystkich. — Rzecz prosta, że dworacy nie ustępowali babuni w pochwałach.

Jean de Beaugue opisuje Maryę jako „jednę z najdoskonalszych „kreatur,“ jakie widziało się kiedykolwiek.“ Dalej pisze o niej: „Od najwcześniejszej młodości wyposażoną była wszelakiemi darami czaru i chwały, był też uzasadniony powód rokowania jej tak pięknych nadziei na przyszłość, jak żadnej księżniczce ziemskiej.“

Katarzyna Medici pisała do matki Maryi: „Niezwykłe błogosławieństwo spłynęło na Was, że posiedliście taką córkę, ja zaś uważam się za więcej błogosławioną, że Bóg tak zrządził, iż do mnie ją posłaliście — sądzę też, że będzie podporą moją w starości, gdy ją mieć będę przy sobie.“

Księżniczka Marya, której skroń już w kolebce uwieńczono koroną starego królestwa, jaśniała wszystkiemi zaletami ducha, umysłu i ciała. Śpiewała prześlicznie, tańczyła z gracyą i namiętnie; wcześnie doszła do mistrzostwa w artystycznem władaniu tą igiełką, która u schyłku jej nieszczęśliwego żywota skracała owe długie godziny pobytu w więzieniu.

Do języków niezwykły talent miała. — *Brantome* unosi się nad nią pisząc: „O jakże uroczą była, gdy głosowi jej ślicznemu towarzyszyły tony lutni. Grała na niej przepięknie mlecznej białości rączętami i przebierając kształtnemi paluszkami, które były tak nadobne jak palce aurory.“

Także w naukach mała Marya uchodzić mogła za dziecko cudowne. Mając lat 12 napisała 64 krótkich, wolnych zadań łacińskich. Zadania te przechowały się do dnia dzisiejszego, a można je oglądać w paryskiej bibliotece narodowej. Napisane są w zwykłym zeszycie szkolnym, oprawnym w marokańską skórę. Na 86 stronnicach widnieje wyrobione i czytelne pismo Maryi, służące do napisania bądź wolnych wypracowań, bądź listów. Z tych poważnych ćwiczeń nie przeziera bodaj najlżejszy promyk wesołej i rozkosznej duszyczki księżniczki młodocianej, natomiast wyczytać z nich można nad wiek mądre, a nawet bogobojne i uczone poglądy. — I tak na jednej ze stronnic czytać można o „złym kacerzu Kalwinie,“ którego młode dziewczę ostro karci i upomina. Dziecięce wiersze wyraźnie wskazują na wpływy surowej inkwizycyi, która w owych czasach tyle straszliwych ofiar pożądała w prześladowaniu Hugonottów. Dziewczę kończy swój temat retorycznym wykrzyknikiem: „Oby Chrystus, Syn Boży, przypomniał sobie twe bluźnierstwa, Kalwinie!“ — Niestety delikatna główka kędzierzawa, która zapewne z taką gorliwością się pochylała była nad owem wypracowaniem szkolnem, nie mogła przypuszczać, że kiedyś omotaną będzie siecią winy i grzechu, a cieńkie, różowe paluszki, które tak ostrożnie pióro prowadząc słowa i zdania pisały, nic jeszcze nie wiedziały, jakie kurczowe męki kiedyś przechodzić będą, narażone na załamywanie ich w kornej, błagalnej modlitwie pokutnej.

(mss).

Wiara w nieśmiertelność duszy, w tej samej czerpie się krynicy co i wiara w bóstwo, i nikt nie może wierzyć z pełną ufnością w Boga, kto nie wierzy w jej nieśmiertelność.

T. Tripplin.

* * *

Wytocz z człowieka krew a ubiegnie z nią i życie jego; wytocz z narodu język a ubiegnie z nim żywot jego. Naród żyje dopóki język jego żyje; bez języka narodowego niema narodu.

Karol Libelt.

* * *

Najwyższym dowodem wartości człowieka jest walka z wadami przyrodzonemi serca, aby na miejsce przemiennych uczuć, zbudować sobie charakter.

Józef Kremer.

* * *

Jak piękność plastyczna pewnych kształtów, muzyka skali chromatycznej, poezya wierszowa zewnętrznej miary sylab, tak i życie towarzyskie pewnej zewnętrznej miary, skali i kształtności form potrzebuje.

Karol Szajnocha.



G. Smólski.

Z podróży po Słowaczyźnie węgierskiej.

I.

Słowacy, najbliższy nam plemiennie i gwarowo szczep słowiański, mało są nam znani, a stosunki, jakie nas łączą z nimi, nazwać można nikłemi, z czego wynika dla nich i dla nas nie mała szkoda, gdyż oni pozostając pod najsroższym uciskiem madziarskim potrzebują nieodzownie pomocy pobratymców szczególnie o międzę graniczących a dla nas wynikałaby z tego wielka korzyść, iż moglibyśmy w porozumieniu z nimi uporządkować nasze własne stosunki narodowe na węgierskiej Słowaczyźnie i rozszerzyć wogóle wpływ polszczyzny. Na Słowaczyźnie bowiem istnieje na stokach Beskidów, Tatr i Karpat wzdłuż biegu rzeki Wagu i Popradu od Treszczyna do Koszyc polska ludność, przez nas zapomniana, porzucona i zdana własnemu srogiemu losowi, jako pozostająca bez żadnej opieki narodowej. Ludność tę po zbadaniu stosunków miejscowych oceniam na mniej więcej 300.000. Ludność ta zamieszkuje północną część komitatu czyli „stolicy“ trenczyńskiej na pograniczu węgiersko-śląskiem, część „stolicy“ liptowskiej, Górną Orawę, Spiż i ciągnie się następnie stokami Karpat przez komitaty: szaroszki, zemuński, gumerski i aboski ku Preszowu (Eperies) i Koszycom (Kaschau).

Dla jej bliższego poznania przedsięwziąłem głównie podróż po Słowaczyźnie puszczając się z Preszburga szlakiem kolejowym doliną rzeki Wagu. Kraj prześliczny, lecz nieszczęśliwy, który od upadku wielko-morawskiego państwa stał się łupem obcych ciemięzców i znajduje się od długich wieków w niewoli, z której podźwignąć się nie może.

Z Słowaczyzną byliśmy w prawieku i w pierwszej dobie dziejowej złączeni ściśle. Ongi Morawy, późniejsza Małopolska z Krakowem, Śląsk i Ruś czerwona tworzyły w prawieku Białą Chrobacyę, następnie razem wielko-morawskie państwo Mojmirowiczów z stolicą Welehradem, z której rozchodziło się światło religii chrześciańskiej w rodzimym języku i światło oświaty narodowej, szerzone przez słowiańskich apostołów św. Cyryla i Metodego. Po upadku Wielkiej Morawy przeszły te ziemie pod panowanie czeskich Przemyslidów, następnie stały się władztwem naszych pierwszych Piastów, pozosta-

jąc razem ze sobą i tworząc jednostkę narodową. Za Bolesława Chrobrego należały całe północne Węgry aż po za rzekę Gran i po Cisę do państwa polskiego i były tak dobrze ziemią polską jak Małopolska i Śląsk, lud bowiem słowacki używał gwar polskich, prawie tych samych jak Małopolska, Śląsk, Morawy. Słowacy nie różnili się prawie gwarowo od Górali beskidowych, tatrzańskich i sądeckich. Dopiero po upadku państwa Chrobrego zagarnęli Madziarzy Słowaczyznę, lecz prawy brzeg rzeki Wagu, pozostawał jeszcze długo potem w posiadaniu Polski, podobnie jak Spiż, którym Bolesław Krzywousty wyposażył jako wianem swoją córkę Świętosławę Judytę, wydając ją za królewicza węgierskiego Borysa, a który tytułem zastawu wrócił znowu do Polski na początku XV wieku, pozostając przy niej do jej pierwszego rozbioru.

Liczne ruiny warownych zamków, wznoszące się na stromych skałach lewego brzegu Wagu, tworzą świadectwo, że prawy brzeg rzeki był w posiadaniu Polski, gdyż wszystkie te zamczyska powznosili Madziarzy jako twierdze dla obrony granic zabranego kraju słowackiego przeciwko Polakom. Później gdy zabory madziarskie przesunęły się na prawy brzeg Wagu, przesunięto tam linię twierdz obronnych tak, iż obydwa brzegi rzeki obfitują w ruiny strażnic granicznych z tą różnicą, iż na prawym brzegu Wagu strażnice są późniejsze a niektóre wzniesione zostały przez Polaków przeciw Madziarom. Na Słowaczyźnie długo jeszcze bowiem po odpadnięciu jej od Polski przebywali polscy możnowładzcy, którzy wysługując się w części królom węgierskim sprawowali urzędy wojewodów i władali jako nadżupani (komesy) warownemi zamkami. Nazwiska *Komorowskich, Wielkopolskich, Odrowążów, Zborowskich, Łaskich, Sciborów* ze Sciborzyc, *Dubowskich, Kostków Siedleckich* i innych jeszcze pamiętne w dziejach Słowaczyzny i Węgier. Szczególnie możnym wojewodą był Scibor Ostoja ze Sciborzyc, pochodzący z województwa krakowskiego, hrabia Preszburga, Pozegi i Trenczyna, słynący jako „Pan Wagu“, którego dobra ciągnęły się na niezmiernej przestrzeni po obydwóch brzegach rzeki. Prócz zamków nadwagskich władał potężny Scibor jeszcze zamkiem Podgrodzie, miastem Lewoczą i innemi grodami. Rezydował w wspaniałym zamku w Beckowie, którego ruiny wznoszą się na stromej skale na lewym brzegu rzeki Wagu, widome w milowym okręgu, jako zabytek gniazda orlęcego, panującego ongi nad całem porzeczem. Scibor wystąpił na widowni politycznej po raz pierwszy w czasie, gdy Zygmunt Luxemburczyk, król węgierski, później czeski i cesarz niemiecki, starał się o koronę polską. Był jego dworzaninem i najwierniejszym stronnikiem jakoteż pomocnikiem we wszystkich knowaniach i przygodach a kilkakrotnie zbawcą, chroniąc go przed śmiercią. Król Zygmunt rozrzutny i dumny, chciwy, przewrotny i chytry, zawołany okrutnik i słynący z rozwiązłych obyczajów, tworzył z Sciborem dobraną parę, odwzajemniając mu się za oddane sobie wielkie usługi nadaniem wielu wysokich dostojeństw i ogromnych posiadłości w Słowaczyznie: grodów, zamków i włości. Słynął Scibor z waleczności i męztwa, lecz zarazem z okrucieństwa będąc postrachem ludu, wśród którego do dziś dnia żyje jego postać legendowa jako srogiego ciemięzcy. Jako rycerz i wódz wsławił się on zwycięstwem w bitwie pod Nikopolis przeciw rokoszanom węgierskim (1395), w której Zygmuntowi ocalił życie. Później oswobodził go z więzienia na Wyrzehradzie, gdzie stany węgierskie były go osadziły powołując na tron węgierski Władysława Jagiełłę, który przyjęcia korony węgierskiej odmówił. Scibor wojując dalej rokoszan zdobywa od nich Nitrę, jako też warowne zamki: Skaczany, Krupę i Kralawany, mimo, iż dwukrotnie był ranny. Gdy Węgrzy ponownie podnieśli rokosz przeciw Luxemburczykowi, powołując na tron Władysława Neopolitańskiego a ten przyjąwszy koronę, wkroczył do Dalmacyi, Scibor znowu dobywa miecza w obronie Zygmunta. Ciągnie z swojem wojskiem Dunajem i pobija zupełnie Władysława pod Szebeberzem zdobywając cały jego obóz i w końcu tłumi cały rokosz.

Równie gorliwie jak na polu wojennem służy on panu swemu w dziedzinie polityki, grając przytem rolę nędznego zdrajcy własnego narodu. Zygmunt był ukrytym wrogiem Polski, przeciwko której wciąż knował z Krzyżakami. W głowie jego był się nawet zrodził projekt rozbioru państwa Władysława Jagiełły, który zakończył się pogromem krzyżactwa pod Grunwaldem. We wszystkich knowaniach chytrego Luxemburczyka przeciw Polsce brał Scibor żywy udział. W r. 1409 widzimy go w poselstwie cesarza niemieckiego Zygmunta do Krzyżaków, w czasie gdy się zanosiło na wojnę pomiędzy nimi a Polską. Jagiełło starał się za pośrednictwem Zygmunta, odgrywającego obłudnie rolę przyjaciela Polski, zapewnić sobie pokój ze strony Krzyżaków. Tymczasem Zygmunt wysłał do nich Scibora dla zawarcia z nimi pokryjomu sojuszu przeciw Polsce, przyczem Scibor wytargował od Zakonu 40000 złotych reńskich dla zadłużonego Zygmunta w zamian za przyrzeczenie popierania zbrojnego ich sprawy przeciw królowi polskiemu. Gdy następnie stosunki pomiędzy Zygmuntem a Władysławem Jagiełłą pogorszyły się i zanosiło się na zupełne ich zerwanie, Polacy, przebywający na dworze węgierskim, pomimo iż na Węgrzech dzierzyli znaczne dobra i godności, opuścili Zygmunta a tylko jeden Scibor pozostał przy nim. Podczas następnej wojny Krzyżaków z Polską bawił Scibor jako wysłannik Zygmunta na zamku malborskim jako gość wielkiego mistrza Ulryka. Po zwycięstwach polskich przybywa on wraz z Mikołajem z Gasy w poselstwie węgierskiem do polskiego obozu pod Jezowem, ujmuje podstępnie króla polskiego dla pokoju, pośredniczy go i skłania króla do zgodzenia się na pokój, pod warunkiem przyłączenia Żmujdzi do Litwy a Ziemi dobrzyńskiej do korony. Posłowie węgierscy przyjmują obłudnie warunki polskie, chociaż o pokój im wcale nie chodziło, gdyż do obozu polskiego przybyli byli tylko dla szpiegostwa. Scibor znając potęgę wojenną Władysława Jagiełły lepiej od innych, miał mistrzowi Ulrykowi odradzić prowadzenia dalszej wojny z Polską, lecz głosu jego nie usłuchano a wojna zakończyła się pogromem grunwaldzkim. Później odegrał Scibor jeszcze nędzniejszą rolę zdrajcy, gdy Zygmunt zamierzając korzystać z wycieńczenia sił Polski przez długą wojnę z Krzyżakami chciał ją najechać. Węgrzy odmówili mu posiłków przeciw Polsce. Wskutek tego przy pomocy Scibora utworzono z najemników czeskich, morawskich i rakuskich dwanaście chorągwi, nad któremi Scibor objął dowództwo i najechał niemi Polskę wkraczając drogą na Sromowce do Sęga, paląc i niszcząc Stare Miasto i wsie okoliczne. Polacy posiadali wówczas od strony Węgier słabe siły obronne. Cofali się wobec przemocy Scibora, lecz później Kasper Bochenell i Duliebor powstrzymali pierzchających, a gdy nadeszły posiłki, uderzyli na najezdników, zbili ich do szczętu a sam Scibor zaledwo zdołał z niedobitkami ujść niewoli chroniąc się do Bardyowa a następnie uchodząc do swego grodziska Beckowa nad Wagiem.

Zwiedziłem malowniczą ruinę wznoszącą się na ogromnie stromej wysokiej skale nad Wagiem. Ruina rozległa wskazuje, iż był to nadzwyczaj potężny zamek obronny. Dziś okolica pusta, w około nie widać żadnych siedzib ludzkich a krajobraz cechuje pewną ponurość. Na stokach skały spotkałem tylko starego pastucha słowackiego z trzodą krów wsi okolicznej. Zbliżyłem się do niego i zacząłem się go rozpytywać o



Grupa ludu słowackiego.

ruinę zamkową. Staremu Słowakowi rozwiązały się usta, gdym go z moich zapasów podróżnych poczęstował winem i cygarem. Hej, — zaczął mi opowiadać — przed wiekami *bytował tu wilkomozny* pan, wielki wojewoda Stibor, z którym nie każdemu królowi było się mierzyć. Tam na *horze* stał jego zamek z komnatami posrebrzanemi i z banią świecącą się szczerem złotem. W piwnicach leżały niezmierzone skarby złota i dyamentów. To też wojewoda hulał sobie co się wlazło i bawił się szumnie wyprawiając łowy, pijatyki, bale, a był tak hardy, że biednych swoich poddanych wcale za ludzi nie uważał i obchodził się z nimi gorzej jak człowiek twardego serca z bydlętami. Krzywdził srogo ludzi a bano go się więcej jak ognia. I zamek ten powstał niesamowitym sposobem. Razu jednego wojewoda Stibor polował z gośćmi swoimi w tych lasach. Po łowach rozłożyli się państwo na tej tu łące pod tą ogromną skałą. Jedli i pili co się wlazło, a gdy wojewoda był już sobie dobrze podpił począł pytać gości gdzieby podług ich widzenia było najlepsze miejsce na postawienie zamku. Jeden mówił tak, drugi inaczej, aż w końcu ozwał się błazen wojewodziński Bolond i rzecze:

— Panie wielkomozny — ja zbudowałbym zamek na samym szczycie tej wysokiej skały.

Na to roześmieli się wszyscy goście. Jakże budować zamek na tak wysokiej i stromej skale? Niepodobieństwo. Lecz hardy wojewoda rzekł:

— Co, niepodobieństwo? U mnie niema niepodobieństwa. Zamek stanie na szczycie skały od dziś za rok, a was wszystkich wzywam za rok, o tej samej godzinie na wierzch skały do mego nowego zamku na sutą ucztę.

I dotrzymał pan wielkomozny słowo. Za rok stał zamek na skale a z jej wierzchu rozlegała się wesoła gędźba a z okien zamku biły jasne światła a na stokach góry zieleniły się szumne ogrody i winnice, nad któremi czuwał wiernie dozorca Morgiło, który wśród winnic żył w chatce z rodziną ubogo, lecz gospodarnie i szczęśliwie. Jednego roku nastał wielki nieurodzaj. Ludzie marli z głodu, więc w chacie Morgiły wyglądało także bardzo chudo. Na zamku wciąż ucztowano.

Pewnego dnia właśnie wybiło było południe. O tym czasie odbywał się obiad zawsze w psiarni wojewody, suty obiad, bo wojewoda dbał o swoje psy stokroć razy więcej niż o swych ludzi. Błazen Bolond gospodarzył w psiarni. Z chaty Morgiły widno było jak psy ciągnęły na obiad. Idzie moc pachołków suto ubranych wiodących smugę psów. Za psami skacze śmieszny człowiek w spiczastej czapce z dzwonkami. Na nim płaszcz z pawich piór, a gęsie szyjki złocone wiszą mu u butów czerwonych miast kutasów. To błazen Bolond. Za nim kroczą kucharze niosąc miski i kotły i pieczeń na wielkich półmiskach.

Widzi to Hańdzia, dziesięcioletnia śliczna córeczka Morgiły stojąc z matką w progu chaty.

— Mameczko droga — powiada głodem zmorzone dziewcze — jak tym psom dobrze, jeśli dostają takie pieczenie smaczne na obiad... Ale ten jeden wielki, największy pies, co go prowadzi ten człowiek w piórach jeść nie chce, biega tylko wokoło i wącha i burczy — widać, że mu się jeść nie chce.

Był to ulubiony pies wojewody Smok. Dozoruje sam błazen, prowadzi go na przechadzkę, czesze, myje, ściele mu łóżko. Inne psy są gończe, charty, wyżły—te służą do łowów, lecz Smok nic nie robi a ma najlepiej, szczeka tylko i kaleczy biednych ludzi a wielkomozny wojewoda trzyma się pod boki i przypatruje z zamku biesiadzie psiej.

Widzi głodna Handzia jak pies ten zagrzebuje pieczeń w piasku pod krzem. Połyka ślinkę biedne dziecko. Oj dobra musi być pieczeń, bardzo dobra. Głód popycha ją naprzód, w stronę, gdzie Smok w piasku zagrzebał jadło. Leżał on sam w trawie niedaleko.

Słyszy potem Morgiłowa przeraźliwy krzyk. Poznaje głos swego dziecięcia. Wtem widzi jak Smok wlecze Handzię za skrwawione ramię a od strony zamku biegnie błazen wołając na głos:

— Ta mała chciała ukraść pieczeń Smokowi.

Z ramienia wleczonego dziewczęcia sączy się krew. Przerażeni rodzice bieżą ratować swe dziecko. Morgiła wali pałką psa, pies poczyna strasznie skomleć, wlecze za sobą złamaną nogę. Pachołki chwytają Morgiłę. Staje się ogromne zamieszanie. Z zamku wybiega gniewem **rozżarty wojewoda a** trzęsie się cały wydaje wyrok śmierci na Morgiłę.

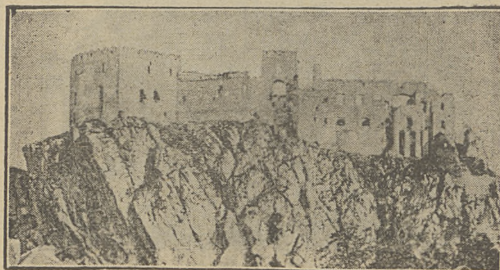
Przybieżali dwie prześliczne córki wojewody i na klęczkach błagają ojca o przebaczenie Morgile. Morgiłowa żona na klęczkach prosi o miłosierdzie dla męża. Wszystko na darmo. Wojewoda skinął na swoich ludzi, by wyrok wykonali i strącili Morgiłę ze skały.

Stoczył się żywcem w przepaść, z której nikt i kości nie pozbiera. Chatę jego zrównano z ziemią tak, iż z niej ślad nie pozostał.

Wojewoda miał zwyczaj spać po obiedzie. Tego samego dnia rozścielono mu drogocenny kobierzec w sadzie, na który legł i chociaż strasznie zgniewany i zmartwion złamaną nogą psa ulubionego niebawem zasnął. Wtem przypełzuje do kobierca jadowita żmija. Obwija się koło szyi wojewody i kąsa go w sam policzek. Straszny ból obudził go ze snu, Naraz zczerniała mu twarz, jad w jednej chwili rozbiegł się po krwi. Zrywa się jak opętany i biegnie na oślep. Mniema, że dąży ku zamkowi a on tymczasem leci wprost w przepaść i hej spada w bezdeń.

Czarne chmury nagle przyćmiły niebo, robi się ciemno jak w nocy. Zrywa się okropny wicher, poczynają bić straszne gromy, burza szaleje wyrywając drzewa z korzeniem i ciskuje je w Wag. Zda się że nadszedł koniec świata. Hej, Bóg sprawiedliwy!

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Ruiny zamku Ścibora w Beckowie.

Biada tym narodom, które unosząc się nad tem co zdobi i uprzyjemnia, zapominają o tem, co je przy życiu trzyma. *Józef Supiński.*

* * *

Cierpienie pali i oświeca: ono jest tym ogniem, który gorejąc wewnątrz, rozrzuca na obliczu jakiś blask godności, wzbudzający mimowolne uszanowanie. *Józef Korzeniowski.*



Z ojczystych stron.

Pałuki i miasto Szubin.

Z podanych w numerze 2-gim źródeł zebrał i opracował
Józef Formanowicz.

(Dokończenie).

Długosz opowiada, że w r. 1410 król Władysław, chcąc zatrzymać rozchodzące się wojsko, pędził konno z Inowrocławia do Szubina; tu zjadł obiad, przenocował w Łabiszynie i wrócił do Inowrocławia.

W roku 1458 Szubin miał dostawić 2-ch pieszych na wyprawę malborską, był więc wówczas nieznacznem miasteczkiem.

Później jednakże dosyć duże i kwitnące miasto upadło znacznie wskutek wojen szwedzkich, a nadto niszczyły liczne pożary dobytek obywateli. Domy zbudowane wyłącznie z drzewa paliły się jak słoma, o ratunku zaś mowy nawet być nie mogło. Z przeszłości Szubina wiemy jedynie to, że Krysztof Opaliński nadał miastu (w r. 1645) liczne przywileje, i że niegdyś składał się Szubin z dwóch miast: ze starego i nowego.

Kiedy za czasów Kaźmierza Wielkiego we wszystkich zakątkach ówczesnej Polski sadzono szczepy winne, przypuszczać można, że i w tej miejscowości założono winnice, gdyż jedna z ulic przechowała do naszych czasów nazwę „Winnicy.“

Od końca 18-go wieku źródła dziejowe miasta obficiej płynąć zaczynają. Wówczas liczył Szubin 611 mieszkańców, pomiędzy którymi 10 rodzin było żydowskich. Obywatele trudnili się głównie rolnictwem i ogrodnictwem, rzemiosło reprezentowało kilku sukienników.

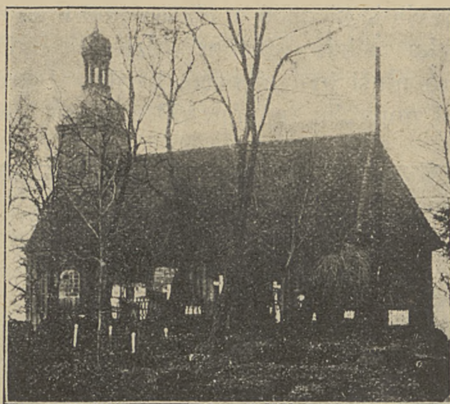
W r. 1776 przyznano Szubin królowi pruskiemu Fryderykowi II. Od tego czasu zmieniły się stosunki. Stary burmistrz Głowacki musiał ustąpić, a na jego miejsce sprowadzono Niemca, Brettschneidera z Rawicza, który do roku 1781 urząd ten sprawował. Po nim obrano na propozycyą dziedzica burmistrzem niejakiegoś Steinerta i wyznaczono mu 50 talarów rocznej pensyi. Po jego śmierci objął to stanowisko chirurg miejski Kronhelm. W r. 1805 było w kasie miejskiej rozchodu 166 talarów więcej jak dochodu, a pieniądze te kazano zapłacić ówczesnemu właścicielowi Szubina, panu Baranowskiemu.

Rząd sprowadził też zaraz znaczną ilość Niemców lutrów do miasta i umieścił tam pułk wojska. W roku 1780 uregulował Stanisław hr. Mycielski podatki miejskie i obdarzył obywateli ziemią i łąkami. Bardzo okazał się też wspaniałomyślnym względem lutrów, dając im drzewo i wszystko, czego potrzeba do wybudowania kościoła, który w r. 1796 poświęcony został. Pierwszego pastora sprowadzono z Piły, a był nim Andrzej Hoffmann, następnie przez 50 lat zarządzał gminą protestancką Bogumił Plath.



Kościół parafialny i probostwo w Szubinie.

W roku 1797 spaliło się całe prawie miasto, zostało bowiem tylko 12 domów, 4 stodoły, ratusz i kościoły. Mieszkańcy zdołali zaledwie życie ocalić, cały ich dobytek stał się pastwą płomieni. I wtenczas wydał rząd rozkaz, aby domy na nowo budowane miały dachy i kominy z cegły, bo dotychczas były dachy słomiane, a kominy drewniane. Dzięki pomocy rządowej i miłosierdziu bliźnich odbudowano miasto, które ładniejszy otrzymało wygląd.



Kaplica św. Małgorzaty na cmentarzu w Szubinie.

Od tego czasu począł Szubin dość pomyślnie się rozwijać. W r. 1818 został miastem powiatowem, a przy reorganizacyi sądownictwa w r. 1835 otrzymał sąd okręgowy. W ślad za tem liczne grono urzędników sprowadziło się do Szubina. Podniósł się też znacznie handel i przemysł, a bite trakty prowadzące do Bydgoszczy, Nakła, Żnina i Kcyni ułatwiały komunikacyę.

Kiedy w r. 1848 wybuchło powstanie niemieccy mieszkańcy stanowczo żądali wcielenia miasta do Rzeszy Niemieckiej, czemu opierali się Polacy. W końcu jednakże po stoczonej niedaleko Wolwarku małej potyczce ustąpili Polacy i zadosyć uczynili żądaniom Niemców, po stronie których walczyła utworzona wtenczas milicya obywatelska oraz bractwo strzeleckie.

W ostatnim czasie założono w Szubinie prowincyonalny zakład wychowawczy dla chłopców katolickich. Otworzono także dwie linie kolejowe: jednę wiodąca z Bydgoszczy przez Szubin-Wągrówiec do Poznania, drugą łączącą Szubin z Żninem.

Herb miasta wyobraża pelikana karmiącego pisklęta, nad pelikanem Nałęcz.

Kościół parafialny pod wezwaniem św. Marcina fundował dziedzic miejscowy Sędziwój z Szubina w XIV. wieku. Na jego prośby król Kaźmierz Wielki nadał kościołowi na wieczne czasy wieś Wieszki. W roku 1441 Mikołaj, pleban szubiński, pozywa przed sąd konsystorza Gnieźnieńskiego Jana z Czarnkowa, starostę nakielskiego za to, że przez dworskich swoich zabrać kazał siano ze stogów kmieciom z Wieszków, do których żadnego nie miał prawa, i przedłożył przywilej króla Władysława Jagiełły z r. 1430 zatwierdzający darowiznę wsi rzeczonej przez Kazimierza Wielkiego uczynioną. Król Władysław przekonawszy się z przywileju Kaźmierza Wielkiego, że tenże wieś Wieszki z lasami i rzeką Notecią darował kościołowi szubińskiemu, potwierdził tę darowiznę z warunkiem, aby każdorazowy pleban za duszę jego, żon jego Elżbiety i Zofii oraz synów Władysława i Kazimierza co niedzielę odprawiał mszę św. do św. Trójcy, co poniedziałki za dusze zmarłych, w piątki o męce Pańskiej, a co soboty do Matki Boskiej. — Granice tej posiadłości stanowić mają rzeki Noteć i Gostusza oraz miasto Nakło. — Prócz tego posiada kościół szubiński folwark przy mieście (Dziekanka). Mieszczanie pła-

cili proboszczom meszne po groszu z domu, a komornicy po pół grosza. Prócz zwykłych danin pobierał pleban dziesięcinę pieniężną po 6 groszy z każdego łanu kmiecego na Małej Kłoni, leżącej na wschód od Sępolna, w ziemi niegdyś nakielskiej (dzisiejszy powiat tucholski).

tegoż Stanisława hr. Mycielskiego 29-go listopada r. 1770. Bractwo to ma obowiązek wypełniania wszelkich posług przy chorych i zmarłych braciach i liczy obecnie 70 braci. — Drugie Bractwo „św. Rocha,“ patrona od morowego powietrza, założone r. 1763, liczy 38 braci, trzecie zaś „św. Antoniego,“



Zakład wychowawczy dla chłopców katolickich w Szubinie.

Styl budowy kościoła jest staro-gotycki o jednej nawie z trzechstronnie opasanym chórem. W nawie kościelnej znajduje się sklepienie beczkowe z kontrałukowemi wcięciami w otworach ścian z nowszego czasu, nad chórem zaś jeszcze ówczesne sklepienie krzyżowe. Po stronie północnej chóru położona zakrystya, także pod sklepieniem beczkowem, jest od strony wschodniej powiększona absydą, formy poziomej, składającą się z pięciu stron ośmioboku. Sklepienie w tej części jest zastósowane do beczkowego w zakrystyi, lecz z wychodzącemi z kątów żebrami fugowanemi. W oknach są boczne ściany muru stosownie do stylu tynkowane i mają krzyżyk w czole przesklepienia.

Po ogniu, który 1-go maja 1840 r. miasto nawiedził, przyczem i kościół parafialny znacznemu uległ zniszczeniu, odrestaurowano kościół w r. 1842, wieżę zaś po stronie zachodniej w r. 1862 nowo wybudowano i umieszczono w niej zegar. Wieża pokryta jest miedzią.

Jako rzecz pamiątkowa znajduje się w zakrystyi kościoła naczynie czyli miska mosiężna, dętej roboty, 42 cm. w średnicy, na którem wyryte Zwiastowanie Najśw. Maryi Panny, z dwoma brzegowemi napisami głoskami gotyckiemi i łacińskiemi XVI.—XVII. stulecia.

Po za miastem na cmentarzu wystawiona kaplica pod wezwaniem św. Małgorzaty jest zbudowana z kłód drewnianych w roku 1748 o jednej nawie, w którą wciągnięty jest chór z trzech stron opasany, lecz dach przechodzi w równych rozmiarach nad chórem jak nad nawą.

Przy kościele istnieją trzy bractwa i to: Bractwo Matki Boskiej, pierwotnie „garncarskiem“ zwane, założone r. 1704 6-go stycznia przez Filipa Konarzewskiego, dziedzicznego pana na Szubinie, a zatwierdzone przez wnuka

założone r. 1770 przez Stanisława hr. Mycielskiego, liczy około 150 braci.

Wymienione trzy bractwa mają obowiązek asystowania podczas wystawionego Przenajśw. Sakramentu we wszystkie uroczystości, w Boże Ciało i oktawę, oraz we wszystkie niedziele i święta z światłem.

Od roku 1719 pracowali w parafii szubińskiej następujący proboszczowie:

Jan Chrzanowski (1719), Wojciech Szczepański (1731), Stanisław Żarnowiecki (1767), Kaźmierz Krzyżagórski (1781), Antoni Tuszyński (upoważniony do obrad stanów Prus Zachodnich 1797),Jan Komasiński (1822), Kentzer (1851), Aleksy Radecki (1887), Stanisław Ryński (1893), Ludwik Sołtysińsiński od roku 1898.

Parafią tworzą: Szubin, Szubińska Wieś, Dziekanka, Folusz, Grzeczna Panna, Łachowo Polskie, Łachowo Stare, Żakowo, Nowy Świat, Pińsk, Podlesie, Smolniki, Wolwark i Wścibin.

W Szubinie istnieją następujące Towarzystwa polskie:

1. Towarzystwo Przemysłowców założone 26 grudnia 1895 r. Zadaniem jego jest szerzenie dobrych obyczajów oraz religijności na podstawie nauki Kościoła. Do towarzystwa należą przeważnie starsi obywatele Szubina. Tow. liczy obecnie 52 członków. Biblioteka składa się z przeszło 200 tomów.

2. Towarzystwo Śpiewu „Halka“ założone 4 marca 1893 r. liczy obecnie 39 członków. Celem Tow. jest pielęgnowanie śpiewu i życia towarzyskiego przez urządzanie od czasu do czasu wspólnej zabawy oraz wieczornic. Posiada własną bibliotekę o 120 tomach.

3. Najmłodszem Towarzystwem jest: Towarzystwo Robotników Polskich, założone w listopadzie r. 1904, liczy obecnie około 130 członków. Zadaniem jego jest:

1. Obrona i szerzenie religijności i dobrych obyczajów w ścisłym związku z Kościołem.

2. Ogólne oświecenie umysłu i szczegółowe pouczanie członków w sprawach żywotnych stanu robotniczego.

3. Popieranie materyalnych interesów stanu robotniczego i pomoc wzajemna członków.

4. Utrzymanie koleżeńskich stosunków i wspólna skromna zabawa.

Towarzystwo posiada własną bibliotekę, z której członkowie gorliwie korzystają i kasę pośmiertną dla członków.

Jednakże dalszy rozwój trzech wzmiankowanych Towarzystw tamowany jest brakiem sali, w którejby urządzano przedstawienia amatorskie lub t. p. zabawy i wieczornice z wykładami. Nawet na wiece wyborcze w ostatnim roku właściciele sal obcego pochodzenia Polakom ich wynająć nie chcieli. Doszedłszy więc do przekonania, że na cudzą łaskę liczyć nie można, postanowiły zjednoczone Towarzystwa własne wybudować sobie ognisko i w tym celu wydały znaną odezwę do całego społeczeństwa, apelującą o pomoc materyalną, gdyż o własnych siłach zadania spełnić nie mogą.



„Cesarz nie zna Polaków.“

Pod tym tytułem ogłosił pan Franciszek Krysiak w „Dzienniku Berlińskim“ szereg artykułów, które, przetłumaczone na język niemiecki, mają się ukazać w osobnej broszurce.

Celem tej pracy jest wykazanie błędności dotychczasowej polityki antypolskiej. Jestto próba zrobienia wyłomu w chińskim murze przesądów i kłamstw, jakim hakatyzm odgrodził cesarza i opinię niemiecką od Polaków, próba objaśnienia uczciwych Niemców o istocie naszych dążności, które najzupełniej nie mają na oku zburzenia państwa niemieckiego, owszem należycie uwzględnione i poparte ze strony rządu, stałyby się źródłem wzmocnienia dla państwa. Sprawiedliwość bowiem, gdyby nam wyrządzoną była, odjęłaby ruchowi naszemu nawet pozory nienawiści wobec żywiołu niemieckiego i państwa i sprowadziłaby do dzielnic naszych pokój, pożądany porówno przez uczciwych Niemców, jak i ogół Polaków, a niepożądany tylko tym żywiołom niemieckim, które na walce naodowościowej, kotłującej w naszej dzielnicy, świetny robią interes i karyerę.

Dotychczas takie enuncyacye pojawiały się zazwyczaj ze strony osób pomawianych (słusznie czy niesłusznie — to w tym przypadku obojętne) o tendencye „ugodowe“. Okoliczność ta osłabiała doniosłość tych głosów u rządu, a wnosiła zazwyczaj ferment w nasze stosunki wewnętrzne. Pan Krysiak ma raczej opinię nieprzejednanego „radykała“. Jeżeli więc i z tej strony pojawiają się głosy pokojowe, jest to wybitnym dowodem, że pokoju — uczciwego oczywiście—chce całe społeczeństwo nasze. Powinno to dać do myślenia rozsądnemu rządowi i w dal patrzącym politykom niemieckim. Czy próby te wydadzą owoce dodatnie, namacalne korzyści, co do tego mamy wątpliwości bardzo poważne. Pod tym względem trzymamy z niewiernym Tomaszem, który uwierzył dopiero, gdy palce w rany Chrystusowe włożył. I my uwierzymy, gdy palcem dotkniemy zabliźniających się ran polityki antypolskiej.

Jeżeli mamy być otwarci, to wypowiemy nawet to, że obawiamy się, iż hakatyści — znani przecież z tego, że się bardzo źle oryentują w sprawach politycznych — okrzykną, iż to strach i słabość kładzie w usta polskie zapewnienia pojednawcze. Byłaby to fatalna omyłka. Nigdy chyba Polacy wyraźniej nie czuli swej siły, jak właśnie obecnie. Nie. Nie dla tego, że słabi jesteśmy, lecz przeciwnie, dla tego, że czujemy swą siłę, którą produktywniej chcielibyśmy zużyć, niż na konieczną w dzisiejszych stosunkach walkę, snujemy tę przędzę pojednawczą. Ożywienie się tego rodzaju publicystyki, jak wszystko, ma swe dodatnie i ujemne strony. Może być, że obecnie jeszcze czas na nią nie dojrzał. Za potężne jeszcze są wpływy hakatyzmu, który złamać muszą fakta, twarda rzeczywistość, gdyż czernidła drukarskiego on się nie zlęknie. Jednakże i w czernidle spoczywa siła olbrzymiej doniosłości. Dla tego może należałoby rozważyć myśl, czy nie zalecałoby się założyć specyalnej politycznej gazety w języku niemieckim, któraby uwydatniała nasze stanowisko we wszystkich bez wyjątku sprawach politycznych, a zawierała osobny dział, w którym wszelkie tendencyjne o nas kłamstwa hakatystów znalazłyby należyte odparcie i sprostowanie.

Jakkolwiek by się kto chciał zapatrywać na te sprawy — to jedno na razie jest jak słońce jasne, że zapędy antypolskie w obecnej chwili są potężniejsze i popularniejsze wśród Niemców, niż kiedykolwiek. Z tego należy sobie zdać dostatecznie sprawę i wedle tych danych postępować tj. stać silnie i niewzruszenie na posterunku i, nie drażniąc ani prowokując nikogo, bronić się do upadłego, równocześnie zaś bez względu na czyjąś łaskę lub niełaskę pracować nad pogłębieniem uświadomienia narodowego, nad rozszerzeniem kultury naszej wśród ludu i nad zdemokratyzowaniem rzetelnem społeczeństwa. Ostatecznie bowiem sporu polsko-niemieckiego nie rozwikła argumentacya publicystów, lecz naturalny rozwój żywych stosunków. Zatem powinniśmy baczyć, żeby życie nie przeszło po nad nami do porządku, a stać się to nie będzie mogło, jeżeli żyć będziemy pełnem życiem, jako ludzie żywi tj. czynni na wszystkkich polach życia.



Dr. Kazimierz Krotoski.

Przyczyny upadku Polski.

5) (Ciąg dalszy.)

Kiedy Polska w małżeństwie Jadwigi z Jagiełłą niejako symboliczny brała ślub z Litwą i Rusią, kiedy ogromne przestrzenie uprawne, jakby świat nowy otwarły się przeludnionym polskim prowincyom, mianowicie czarna gleba Podola nęciła wychodźców. Z Małopolski Mazowsza wychodzili tłumem czynszownicy, by własne tam zorywać niwy. Zamiast kolonizacyą tą kierować, otaczać ją czujną opieką, myśmy zupełnie tego zaniedbali. Rok rocznie zagony tatarskie tysiące ludzi uprowadzały w jassyr, Polacy spokojnem na to patrzyli okiem, bo cóż szkodziło Wielkopolaninowi, że tam o sto mil tysiące dziewic i wyrostków prowadzą na targi pohańców. cóż szkodziło Mazurowi, że tysiące trupów zaległo urodzajne niwy ruskie? Ta ziemia krwią zlana jeszcze urodzajniejszą stawała się niwą dla nowych wychodźców, tak uchodziły soki życia z rzeczypospolitej, jak krew z otwartej rany. Podole było tą gąbką, do której wsiąkała, by wyciśniętą być przez pogan. Zamiast zgnieść gniazdo rozbójników, zamiast jedną wyprawą rozbić krymskich bandytów na miazgę, bo cóż to było dla państwa takiego, jakiem była Polska, my sami dozwoliliśmy osłabiać się przez co? przez wygodę, przez brak solidarności. Tymczasem wina niedbalstwa mściła się w straszny sposób na całem społeczeństwie. Przez liczne wychodztwa marniejące w tatarskiej niewoli opustoszały role w domu. Szlachta z obawy, że grunta ich opuszczone przez ludność roboczą staną pustkami, domagała się przykucia wieśniaka do swej gleby, inaczej mówiąc wprowadziła poddaństwo. Przez to podcięto i rozwój miast, bo lud wiejski, zależny od pana, nie mógł do miast napływać i pomnażać ich przemysłu i pracy. Miasta zaś, lubo pierwotnie miały udział w sprawach publicznych, same odsuwały się od nich, bo lękały się ponosić ciężarów, jakie z tem są połączone.

Nie dziwić się zatem, że szlachta jedyna krew za kraj przelewająca, jedyna sprawująca urzędy publiczne, jedyna zaczyna stanowić kastę rządową, nie dziw, że usuwając tych, którzy się sami usunęli, przeprowadza prawa na korzyść własną — ze szkodą innych stanów. Ten jeden błąd w kolonizacyi Podola sprowadzał drugi i tak szło krok za krokiem coraz to gorzej i coraz to smutniej. Mając porty nad morzem Czarnem Kilią, Białogród, myśmy bez walki dozwolili Turkom zająć te miasta i odciąć sobie tak żywotną tętnicę ekonomiczną, jaką był handel czarnomorski. Przyczyną tego była nieuregulowana skarbowość i brak stałego wojska. Wiedziano o tem dobrze, bośmy mieli ludzi wielkich, którzy znali wady i usterki państwa. Tyle sejmów było, tyle mów — i cóż wynikło ztąd? Przegadaliśmy 3 wieki, a kiedy się wzięto na seryo do dzieła, kiedy w sejmie 4-roletnim uchwalono stotysięczną armią, wtedy było po czasie. Najpotrzebniejsze i najzbawienniejsze reformy dla kraju, dla jednego lub drugiego magnata niedogodne, pozostawały na papierze. Osobiste widoki jednostek udaremniły naprawę całego narodu. Nie dość na tem, myśmy sami wyhodowali naszych wrogów, myśmy, możemy to śmiało powiedzieć, i Prusy i Moskwę mocarstwami zrobili przez naszą ospałość i niedołęstwo.

Jeszcze w 13 wieku przywołani zostali Krzyżacy przez nieudolnego księcia polskiego Konrada Mazowieckiego, który, sam nie potrafiąc obronić własnych krain, cudze pragnie zagarnąć księstwa. Dla tego bez trudu udało się tym pierwszym „kulturträgerom“ zaraz u wstępu sfałszować dokumenta i zupełnie niezależne wobec Polski zająć stanowisko. Poznano się na drapieżnych zaborcach w mniszym kapturze po niewczasie. Oni nietylko zagładę wypowiedzieli naszym słowiańskim braciom na Pomorzu, lecz zagrozili osłabionej Polsce. Dzięki unii z Litwą udało się wroga powalić o ziemię na polach Grunwaldu, gdzie złamano kark hydrze krzyżackiej, lecz nie zadławiono jej, jak było potrzeba. Przyszła nowa wojna. — Ponownie zakon podstępny do muru przyparty, musi odstąpić

połowę swej kradzieży, lecz zamiast sił dołożyć, co było rzeczą łatwą, by zupełnie tych niepotrzebnych gości się pozbyć, zostawiano ich w połowie posiadłości, jako ciągłą groźbę na własną skórę.

Mistrzowie krzyżaccy ciągle wichrzą, ciągle wiążą się z wszystkimi nieprzyjaciołmi Polski, łamią przysięgi, niedotrzymują obietnic, my na to spokojnem spoglądamy okiem, jakby to nas wcale nie tyczyło.

Wreszcie Albert brandenburski staje na czele zakonu, hardo odmawia hołdu królowi polskiemu, spiskuje z cesarzem niemieckim na Polskę, wreszcie zrzuca niewygodny dla siebie habit, a król polski daje buntownikowi ziemię zakonu w posiadanie. Król katolicki uświęca pierwszy uzurpacye zlutrzonych apostatów. Fakt ten niesłychany nawet nieprzyjaciół Polski zgrozą napełnił.

Ród Alberta wygasa, chwila najdogodniejsza odebrać Prusy książęce. Cóż robią Polacy? Oddają je w ręce margrabiego Brandenburskiego dla miłego spokoju. Jak się ten margrabia odwdzięczył, wiążąc się ze Szwedami przeciw Polsce, to rzeczą wiadomą. Odrywa Prusy od Polski i staje się samodzielnym księciem. Jeszcze raz nadarzyła się sposobność zaważyć na szali europejskiej, kiedy Fryderyk II., otoczony ze wszech stron nieprzyjaciołmi, walczy o Śląsk z Maryą Teresą, lecz ówczas Polska stała się, jakoby karczmą zajezdną, do której wszyscy obcy zajeżdżali. Polska wolnością przecież stała, bo każdy dowolnie w niej grabieżył. Nie ubiegano się o obcych, za to obcy obiegali Polskę ze swemi armiami. Z odrętwieniem rzec by można konającego patrzano na zabór Śląska, który był zapowiedzią rozbioru Polski, bo przemyślny monarcha, jakim był Fryderyk II., musiał dążyć do zaokrąglenia monarchii, co tylko kosztem konającej Polski stać się mogło.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Zajaśniały...

Zajaśniały białe światy
Dla mej duszy,
Idzie od nich blask bogaty,
Światłem prószy.
Idzie od tych zórz pociecha
Na padoły,
Grają rajskiej pieśni echa
Jak anioły.

Dusza moja zapomniała,
Co okowy...
I na skrzydłach leci biała
W kraj tęczowy,
Od codziennej swej niedoli
Oderwana,
Zapomniała, że ją boli
Krwawa rana.

Chłoń promienne blaski tęczy
Duszo chora,
Niech tęsknota cię nie dręczy
Jako zmora.
Przynieś z sobą siłę Bożą
Na niziny,
I rozpalaj blasków zorzą
Swoje czyny!

Ks. A. Maciejewski.



Trzęsienie ziemi.

(Ciąg dalszy).

Zkąd dowiadujemy się o trzęsieniach ziemi?

Początkowo braliśmy nasze wiadomości o trzęsieniach ziemi jedynie od ludzi, którzy w okolicach trzęsieniem nawiedzionych się znajdowali. Obserwacya ludzka była jedynem źródłem wiedzy w tym względzie.

Lecz obserwacya ludzka okazała się niedostateczną i nieścisłą.

Wielkiej bowiem części trzęsienia ziemi nie może człowiek wogóle zauważyć, już to dla tego, że są zbyt słabe i krótkotrwające, już to dla tego, że wydarzają się w okolicach niezamieszkałych n. p. w pustyni lub na przestrzeniach oceanów.

Co więcej! Człowiek w chwili katastrofy jest obserwatorem niepewnym. Strach i przerażenie powodują go, że nie zdaje sobie jasno sprawy z tego, co się dzieje i jak się to dzieje.

Doświadczono tego już nieraz.

Tak zapytywano w jednej i tej samej okolicy ludzi o to, jak długo trwało poruszenie ziemi i w którym kierunku się rozprzestrzeniało. Odpowiedzi były najsprzeczniejsze.

Widać ztąd, że w chwili nieszczęścia człowiek zajęty jest tylko tem, ażeby ratować siebie, zajęty jest tylko swoją osobą, a na to, co około niego się dzieje, nie zwraca uwagi.

O lizbońskiem trzęsieniu ziemi donosi pewien lekarz, że gdyby ludzie nie byli stracili przytomności umysłu, można było wielu nieszczęśliwych gruzami przyciśnionych wyratować.

Gdy kto tonie — inny spieszy mu na ratunek; gdy dom się pali, ten i ów ratuje drugich lub mienie nieszczęśliwych — wśród trzęsienia ziemi rzadko tylko stara się kto ratować innych, chyba dopiero, gdy główny strach przeminie i człowiek oprzytomnieje.

Lecz jakże ratować, kiedy i ziemia w swych posadach jest wzruszoną?

Niepewną tedy obserwacyą ludzką starano się zastąpić przyrządem, któryby zapisywał trzęsienia ziemi. Przyrząd taki nazywa się z grecka seismograf.

Wahadło lekko zawieszone tak długo jest spokojne, dopóki nie porusza się to, na czem zawieszone zostało.

To doświadczenie doprowadziło do wynalezienia seismografów. Zbudowane one są w najrozmaitszy sposób, lecz wszystkie mają to wspólne, że są wahadłami, jak najdelikatniej zawieszonemi; i to zwykle wahadłami pozomiemi, które za najsłabszem drgnieniem poruszają się. Otóż dopóki ziemia jest spokojną, wahadło nie porusza się; gdy zaś ziemia drgnie, poruszać się musi i wahadło.

To obserwator daleko pewniejszy od człowieka. Owszem przy seismografie człowiek nawet nie potrzebuje być obecnym, bo seismograf sam zapisuje, o której godzinie się trzęsienie rozpoczęło, jak długo trwało, i jak każdej chwili było silnem.

A to wszystko wskutek bardzo łatwego przyrządu.

Poniżej wahadła znajduje się mechanizm, jakby zegar, który zamiast poruszać wskazówki, przesuwa podłużną kartę papieru, na której są godziny oznaczone.

W dolnej części wahadła umieszczony jest nadto przyrząd do pisania, przypuśćmy ołówek, który lekko dotyka przesuwającej się kartki.

Dopóki tedy ziemia będzie spokojną, dopóty przyrząd do pisania robić będzie na przesuwającej się kartce jedną tylko prostą linią. Lecz skoro nastanie poruszenie się ziemi, wówczas wahadło drgać zacznie, a przyrząd do pisania na karcie oznaczać będzie, jak daleko wahadło się posunęło. Będą tu więc linie boczne, tem większe, im większe było poruszenie wahadła, a zatem im większe było trzęsienie ziemi.

Owszem wynaleziono nawet sposób oznaczenia, jak daleko trzęsienie ziemi jest odległe od seismografu. Człowiek więc przychodzi do przyrządu i przekonuje się, czy i jakie trzęsienie ziemi gdziekolwiek na świecie się wydarzyło, i zanim telegraf przyniesie wiadomość o nieszczęściu, wie on już o której godzinie się to zdarzyło.

Oczywista rzecz, że zawieszenie wahadła musi być jak najdoskonalej uskutecznione, by żadnej nie mieściło w sobie przeszkody, ażeby wahadło za najlżejszem drgnięciem swobodnie się poruszało.

W jaki sposób powstaje trzęsienie ziemi?

Bardzo one liczne. Jednak nie wszystkie są równo łatwe do zrozumienia.

Dlatego wyjaśnię tu choć kilka z nich, a mianowicie takie, które każdy z czytelników zrozumie.

Dawniej podawano jako przyczynę trzęsienia ziemi przedewszystkiem zapadanie się wydrążeń, wielkich jam w głębi ziemi.

Lecz skądże powstają takie wydrążenia?

Głównie wskutek wypłukania przez wodę. Woda bowiem w skorupie ziemi znajduje się we wszystkich warstwach i przenika je, jedne mniej, a drugie więcej. I przechodzi niemi, jak krew w żyłach człowieka.

Nie wszędzie jednak jej równo wiele. Jedne pokłady, jak glina, stanowią dla niej przeszkodę, lecz i w glinie krąży ona, inne pokłady są dla niej więcej korzystne, n. p. gruby, żwirowaty piasek. Lecz woda przenika i największe przeszkody, bo przedostaje się nawet przez najtwardszą skałę.

Jest więc ciągły ruch wody w ziemi.

Nadto woda ma jeszcze inną właściwość. Mianowicie we wodzie rozpuszczają się nawet skały, a cząstki ich woda zabiera płynąc na inne miejsce, i tam je składa. Mianowicie szybko i łatwo rozprósza się we wodzie sól, gips, wapień. Sól, gips, wapień zastajemy w głębi ziemi w postaci skały. Chcąc je wydobyć trzeba je rozstrzeliwać lub rozrąbywać. A jednak woda łatwiej je rozłoży. Sącząc przez pokład soli rozpuszcza jej cząstki i unosi ze sobą na inne miejsce. A im więcej z onego pokładu soli zabiera ze sobą, tem większe tworzy się wolne miejsce, tem łatwiejszy ma dostęp następująca woda. Tej pracy wody nikt z ludzi nie zauważa, a jednak dzieje się ona jednostajnie, coraz większe czyni wydrążenie, aż nareszcie wszystką sól z onego pokładu wymyje i na inne przeniesie miejsce. Tu więc powstaje wydrążenie, tak wielkie jakim był pokad soli.

Tak samo niszczy woda w głębi ziemi inne skały — a mianowicie gips i wapień.

A pokłady soli, gipsu, wapienia są nieraz ogromne, najczęściej jeszcze złączone ze sobą Przez ich wypłukanie powstają wydrążenia, zwykle grotami nazwane.

Wśród wapiennych gór wschodnich Tatr znane są Bielskie groty, które w dostępnej swej części są blisko półtora kilometra długie.

Sławną na cały świat jest grota Postojny (Adelsberg) w Krainie. Tem ciekawsza, że do dziś dnia wpada do niej rzeka Pivka, która z pewnością dokonała zniszczenia skały. O wielkości jej to daje wyobrażenie, że aby przejść jedną jej część, potrzeba dwu godzin czasu.

Wreszcie w ostatnich latach odkryto w Ameryce grotę, której długość oceniają na setki mil.

Zapadnięcie takich wydrążeń w ziemi może zatrząść ziemią wokoło.

Sklepienie groty przecież dużo wytrzyma nacisku. Jest to jakby most potężny. Lecz gdy grota nadmiernie się rozszerzy, nacisk staje się coraz większy — i ostatecznie sklepienie się zapada, a pod naciskiem spadającego ciężaru sklepienia drży ziemia. Takiem było trzęsienie ziemi w Wallis w lipcu 1855 roku. Poruszenie ziemi było tak ogromne, że skały pękały, budynki pękały, wieża kościoła we Wisp runęła, a podłoga dębowa w kościele rozłamała się.

Trzęsienie ziemi wskutek zapadania się wewnętrznych wydrążeń jest łatwo zrozumiałem. Mimo to większa część trzęsienia ziemi musi mieć inne powody. Jakkolwiek siła zapadania się ziemi może być ogromną, to jednak trzęsienie ziemi byłoby głównie na onem miejscu, gdzie zapadnięcie się nastąpiło. Byłyby to trzęsienia ziemi lokalne.

A one wielkie trzęsienia ziemi, które nieraz całą część świata nawiedzają? Nie możemy przypuszczać, iżby siła zapadnięcia się wydrążeń tak ogromne wywołała trzęsienie ziemi. Dla tego, gdzie indziej szukać trzeba przyczyn onych wielkich trzęsień ziemi.

Powodem tych wielkich trzęsień ziemi jest rozpalone, ogniste wnętrze ziemi.

Na pierwszy rzut oka niejeden mógłby powiedzieć: Czyż to możliwe, żeby wewnątrz ziemi było gorąco, żeby wnętrze ziemi było rozpalone?

Nie trudno tego dowieść. I przekonamy się, że w środku ziemi jest takie gorąco, o jakiem tu nie mamy przykładu.

Zacznijmy od tego, co każdemu jest wiadome.

(Dokończenie nastąpi).

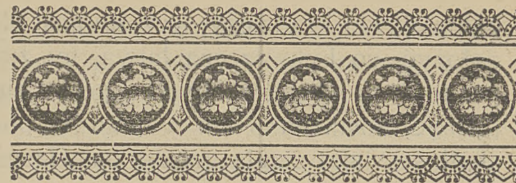
Krzywe drogi często są różami słane, ale wiodą do przepaści, w których giną narody.

J. I. Kraszewski.

* * *

Głupiec, który na chwilę ma dowcip, daleko więcej zadziwia niż człowiek zawsze dowcipny. Jest to tak niby coś, jak koń fiakierski w galopie.

Z. Kaczkowski.



Wezyrowie, Mollahowie i lud w Persyi.

(Dokończenie).

Po „hammam“ idzie Pers zwykle do kawiarni albo raczej do herbaciarni, nazwanej w języku perskim „czajkaneh“. Są to obszerne pokoje, przy ścianach stoją ławki i stoliki z ogromnemi rosyjskiemi samowarami. Liczne świeczniki i lampy oświecają pokoje. Na wiosnę przyciągają najwięcej sławne perskie słowiki, bulbule, publiczność do tej herbaciarni. W każdym pokoju wisi klatka o złoconych pręcikach i ozdobiona różami, Persowie bowiem myślą, że słowiki śpiewają tylko do róż. Kto słyszał bulbule, ten pojmie zamiłowanie Persów do nich. Za słowika płacą tam 40—100 marek.

W zimie bawią się Persowie przesiadywaniem w czajkaneh — paleniem, polityką, plotkami dworskiemi i miejskiemi i słuchaniem cudownych nieraz opowiadań derwiszów.

W czasach tak jak obecnie niespokojnych zbierają się w herbaciarniach rewolucyoniści, pochodzący z nizkich klas społeczeństwa a zbuntowani przez Mollahów. To też Nasseddin kazał je wyrokim cesarskim znieść zupełnie. Ale zaledwie umarł, otworzono je znowu pod rządami niedołężnego Muzafferedina i dziś więcej ich tam, niż kiedykolwiek. Za kilka groszy wypożycza gospodarz gościom kalyany. Fajki te nie mają tak jak w Turcyi lub Algierze długich wężów gumowych — składają się one raczej z długiej, mocnej trzciny i nór, zawierający wodę nie jest z szkła, tylko z gliny lub z porcelany, w bogatych zaś domach z złota albo srebra. Napełnienie kalayanu nie jest drobnostką — zajmują się tem zwykle chłopcy, którzy nic innego nie robią, Bogaci ludzie mają własnych na to ludzi. Bierze się pewną ilość całych, nie rozciętych liści tabaki, macza je w wodzie, wyciska lekko rozrzarzonego węgla drewnianego i podaje się gotowy kalyan gościowi, który z początku porządnie musi ciągnąć, zanim się mokra tabaka rozpali.

Wytworni Persowie nie chodzą do herbaciarni. Po zachodzie słońca składają sobie nawzajem wizyty, w których kobiety jednak nie biorą udziału. Głównym pokojem w każdym perskim domu jest „talar“, leżący od strony dziedzińca naprzeciw głównego wejścia i mający wielkie okna, takie, jakie są u nas w Europie. Mebli natomiast bar-

dzo tam mało i w niewielu domach. Jeżeli widać gdzie stół, to z pewnością stoją na nim dwa świeczniki albo dwa wazony, bo na te cele, na jakie my używamy stołu, używają Persowie podłogi, pokrytej najpiękniejszemi dywanami. Na ścianie wiszą dwa tanie obrazy europejskie w tanich złoconych ramach, a do oświetlenia pokoju służą dwie lampy petrolejowe. Każdego przedmiotu po dwa egzemplarze, tak jak się rzecz ma z butami. Persowie lubią wszystko do pary i kupują to, czego im potrzeba, zawsze podwójnie.

Gdy do pokoju wchodzi gość, podnosi się pan domu z kanapy, tak nizkiej, jak cienki materac, i mówi:

„Przyniosłeś mi szczęście.“

Gość odpowiada na to podobnem pochlebstwem, poczem gospodarz rozpoczyna pogadankę często od następującej uwagi:

„Nos twój bardzo jest tłusty. Jestem szczęśliwy, że nos twój jest tak tłusty.“

Podług naszego pojęcia znaczy to „wyglądasz bardzo dobrze.“ W ten sposób toczy się rozmowa dalej, przyczem pan domu ofiaruje gościowi swój materac, jako miejsce honorowe. Służba obnosi herbatę i fajki, później pestki melona opiekane solą, pistacye, wino albo likiery, i arak, palony z ryżu. W końcu wchodzą muzykanci z cytrami, gitarami, skrzypcami i tamburynem, i zaledwie usiadłszy na ziemi, rozpoczynają koncert, ukazują się śpiewacy i tancerze. Winem i likierami podnieceni goście klaszczą w ręce do taktu jęczącym instrumentom, piszczącym śpiewakom i drganiom tancerzy lub tancerek, wyrażają coraz głośniej zachwyt i „zabawa“ zakończyłaby się z pewnością prawdziwem rozpasaniem, gdyby się nie zbliżała godzina kolacyi. Służba rozkłada najpierw przed siedzącymi w półkole na ziemi gośćmi kawał skóry, kładzie na to białą serwetę, czasem wielki obrus i przed każdym gościem płaski chleb, zwany sangakiem i służący za talerz. Bo naszych talerzy nie znają Persowie, tak samo jak i noży i widelcy. Narzędziami jedzenia są palce prawej ręki. W środku półkoła stawia służba owoce, wodę, wysokie dzbany z sorbetem i lód, i każdy gość posługuje się przy piciu sam, napełniając tkwiącą w dzbanie wielką łyżkę sorbetem i wypijając go wolno. Łyżkę próżną kładzie napowrót w dzban i posuwa go sąsiadowi. Najważniejszemi potrawami na kolacyą są znowu pilaf i czilaf, tylko nieco odmiennie przyprawione — potem rozmaite tureckie potrawy, złożone z jarzyn i skopowego mięsa lub drobiu. Wieprzowiny nie jedzą Persowie nigdy, wołowinę bardzo rzadko. Najulubieńszą jarzyną są ogórki.

Do kolacyi zasiadają wraz z gośćmi i muzykanci, miejsce ich jest „na szarym końcu“, to jest, przy drzwiach, ale za to naprzeciwko miejsca honorowego najznakomitszego gościa. Zanim goście zaczną jeść, obnosi służba miednice i nalewa po koleji na prawą rękę gościa wyciągniętą nad miednicą, trochę wody. Rękawy są przytem zakasane aż po łokieć. Lewą ręką jeść nie wolno, nie potrzeba jej więc myć. Podczas jedzenia rozmawiają Persowie bardzo mało. Gospodarz domu wyjmuje palcami najlepsze kąsy z półmiska i podaje je tym, których najwięcej uczcić pragnie. Po kolacyi obnosi służba znowu wodę, tym razem różanym olejkiem zaperfumowaną — goście myją ręce i zabierają się do fajek i do herbaty. Zabawa taka trwa późno w noc, niektórzy z gości zostają aż do następnego rana, inni każą się służącym, odprowadzać do domu.

Większa część Persów jest „schitami,“ to znaczy, że oprócz Mahometa czczą jeszcze jego siostrzeńca i zięcia Ali, od którego pochodzą dzisiejsi seyidowie. Ali bywa uważany jako stróż tajemnic Boga, dla tego też stawiają go na równi z Mahometem i dodawają do modlitwy Turków i Arabów: „Jest tylko jeden Bóg, a Mahomet jest jego prorokiem“, jeszcze te słowa: „I Ali jest jego Vali“ — to znaczy: zastępca. Oprócz tego czczą Persowie jeszcze dwunastu Imamów czyli apostołów — z których jeden, podług ich zdania, żyje jeszcze i niepoznany przez nikogo, chodzi po świecie. Nazywa on się Imam Mahdi. Ukaże on się pewnego dnia i wytępi na ziemi wszystkich niewiernych. Wtedy będą sami tylko Mahometanie na świecie.

Do rozmaitych świąt dołączają się w Persyi jeszcze dwa — są to dnie poświęcone pamięci Alego i Imamów. W miesiącu Mochanem został na rozkaz Kalifa Yezida zabitym syn Alego Imam Hussein — tego dnia więc noszą Persowie żałobne szaty, odsłaniają pierś i urządzają procesye pod przewodnictwem Mollahów, przyczem szepczą modlitwy i biją się podług taktu w obnażoną pierś. Właściwym dniem żałoby jest dziesiąty Mocharrem, dzień Aschura, w którym fanatycy obrabiają się nawzajem mieczami i sztyletami, publicznie, na ulicach, i to dopóty, dopóki zbroczeni krwią, nie padają na ziemię. Niejeden z nich ponosi z tego powodu śmierć.

Obok schismu, jako religii państwowej, istnieją w Persyi jeszcze rozmaite mahometańskie sekty, z których sekta Babiz najwięcej jest znaną. Założyciel jej Seyed Ali Mohamed przyjął imię el Bab t. j. brama, co ma znaczyć, że on sam tylko ma w rękach klucze do raju.

Mollahowie wyznania oficyalnego byli tem większymi wrogami tego heretyka, im więcej zyskiwał zwolenników, mianowicie pomiędzy prostym ludem. Czynili wszystko co mogli, aby wytępić sektę Babis i znaleźli sposobność do tego zupełnie niespodziewaną. Jeden z Babisów wykonał zamach na szacha. Wszystkich Babisów, których zdołano pochwycić, ścięto w okrutny sposób w Teheranie — tak, że nie można nawet powtórzyć oficyalnego sprawozdania perskiej gazety rządowej. Kogo to interesuje, ten może przeczytać opis sławnego hrabiego de Gobineau, będącego wówczas francuskim ambasadorem w Teheranie. Ciała ściętych zalane krwią płynącą z licznych ran, pożarły psy, i Gobineau ma pewnie słuszność, twierdząc:

„Ten dzień zjednał el Babisowi więcej zwolenników, niżby mu ich setki kazań zjednały.“

Ale Mollahowie nie pozostali bezczynnymi. Widząc, że rozszerzanie się reformy w Persyi nic już powstrzymać nie zdoła, uznali za najrozsądniejsze przyłączyć się do ogólnego ruchu i wraz z parlamentem stanąć w bezpośredniem przeciwieństwie do rządu. Od czasu wstąpienia na tron obecnego szacha osiągnięto już kilka ważnych reform, z których najważniejszą jest wolność prasy. Od tej chwili zaczęło w Persyi wychodzić kilkadziesiąt gazet, które zupełnie otwarcie krytykują rządy „króla nad królami“. Drugą, równie ważną reformą jest zakładanie szkół dla dziewcząt, podług bowiem staroperskich pojęć musi być kobieta perska wychowaną w zupełnej nieznajomości nauki i wiedzy. Po perskich mahometanach nie spodziewał się świat takiego postępu cywilizacyi. Ale w Iranie istnieją też rozmaite chrześcijańskie gminy i sekty, pomiędzy temi są starzy Nestoryanie, Armeńczycy i Chaldejczycy. Sekty te są starsze, niż religia mahometańska. Oprócz tego są tam katolicy z własnym biskupem Msgr. Lesne w Urniji, misye Lazarystów i protestanci pod zwierzchnictwem misyi amerykańskiej. W niektórych okolicach przechowały się do dziś dnia stare nauki Zoroastra.

Z czasów, kiedy Persowie czcili słońce, przechowały się niektóre zwyczaje i szachowie wykonują je do dziś jeszcze a mianowicie: na jednym z głównych placów Teheranu, na Meidan — i — Schah, wznosi się Nagarahkaneh,



Fot. Atelier „Rubens“, dawniej E. Mirska w Poznaniu.

Trzeci akt „Wesołej wdówki“ na scenie poznańskiej,

Powyższa rycina przedstawia początek trzeciego aktu słynnej operetki „Wesoła Wdówka,“ o której referowaliśmy obszernie swego czasu w naszem piśmie. Operetka nasza jest dzięki znakomitej reżyseryi p. dyrektora Lelewicza i dzięki sumiennej pracy zdolnych dyrygentów pp. Lehrera i Langnera zupełnie na wyżynie zadania, a pod względem zewnętrznej wystawy dorównuje wielkim scenom zagranicznym. Na lewo siedzą pp. Lelewicz i Sawicki, na prawo na pierwszym planie: p. Krajewska i p. Kopczyński. Wgłębi na prawo państwo Faliszewscy, w środku p Stochelska.

otoczone publicznemi gmachami. Na terasie pierwszego piętra zgromadzają się przed wschodem i zachodem słońca cesarscy trębacze z ich „kernami“ prastaremi, olbrzymiemi rogami i witają jutrzenkę głucho brzmiącemi fanfarami, którym towarzyszy ogłuszające bębnienie.

Nowe książki, konkursy
i treść pism.

O chatę. Powieść na tle stosunków współczesnych przez utalentowaną literatkę Annę Karwatową, autorkę powieści „Dwa żywioły“. Stron 304. Cena egzempl. brosz. 80 fen., oprawnego 1 mrk. Nakładem Karola Miarki w Mikołowie (Nicolai O.-S.) W tej powieści roztoczyła autorka przed oczyma czytelnika i zajmująco w barwnym języku życie dwóch sierot, które, prześladowane i tyranizowane przez swych opiekunów, jednakowoż siłą woli a przy pomocy Stwórcy wybiły się na wiernych a nawet doszły do pewnego znaczenia. Prześladowców zaś ich spotkała zasłużona kara Boża za znęcanie się nad sierotami, bo z zamożnych gospodarzy stali się nędzarzami a z powodu własnych dzieci mieli ustawiczne zgryzoty aż w końcu marnie poginęli.

* * *

Rozstrzygnięcie konkursu „Wiarusa Polskiego“. W październiku r. z. nadesłała redakcya „Wiarusa Polskiego“ Wydziałowi oświatowemu „Straży“ 84 prac, oddanych jej na podstawie ogłoszonego w listopadzie 1907 konkursu na odczyt z prośbą o ocenę utworów i wyznaczenie nagród w ogólnej sumie 300 marek. Wydział oświatowy „Straży“ po dokładnem zbadaniu całego materyału przyznał trzem autorom po 60 mrk., dalszym trzem po 40 mk. nagrody.

Dla braku miejsca poprzestajemy na powyższej krótkiej notatce, nadmieniając, że wszystkie gazety codzienne wyszczególniły nagrodzonych autorów i ich prace, oraz tych autorów, których prace do ewent. wydrukowania polecono.

* * *

Konkurs. Konkurs literacki ogłasza „Łowiec Wielkopolski“ w ostatnim swoim numerze na nowelki myśliwskie treści poważnej lub humorystycznej, wyznaczając trzy nagrody w wysokości 100, 50 i 25 mrk. Prace te posiadać mają zawartość najmniej 3, najwyżej 8 stron „Łowca Wielkop.“ (23×13 cm.) Nazwisko autora należy umieścić w osobnej kopercie i manuskrypta nadesłać najpóźniej do 1 marca br. pod adresem: Wł. Janta Połczyński — Redgoszcz p. Rąbczyn (Rombschin.)

Nadto najświeższy numer ten, ozdobiony licznemi ilustracyami, porusza aktualne sprawy z dziedziny łowieckiej następującej treści: Walne zebranie Towarzystwa łowieckiego. Czy lub w jaki sposób należy odstrzeliwać kozy. Ptaki drapieżne krajowe. Siła lecznicza przyrody. Powonienie ptaków. Na rozkładzie. Rozmaitości myśliwskie. Kącik humorystyczny.

Kwartalny abonament w administracyi „Łowca“ (adres: Drukarnia „Dziennik Poznański“ — Posen) wynosi 2,70 mk., dla leśniczych i strzelców dworskich tylko 1,70 mk.

Baczność!

„PRACĘ“

zawsze jeszcze można zapisać na poczcie na bieżący nowy kwartał t. j. miesiące: **styczeń, luty i marzec.**

Kto się spóźnił z odnowieniem przedpłaty może za opłaceniem 10 fenygów żądać od poczty dostarczenia zaległych numerów.

Kwit pocztowy zamieszczony między ogłoszeniami.

* * *

Obrazy

piękne, treści religijnej, historycznej i rodzajowej, przeznaczyliśmy w bieżącym kwartale między innemi na ryciny albumowe.

Do następnego numeru dołączymy

wielki albumowy obraz

do noweli Rawity p. t. „Śmierć Wernyhory,“ przedstawiający króla Stanisława Augusta Poniatowskiego w orszaku pań i dworzan.

Wiece i zebrania.

W powiecie grodziskim odbędą się walne zebrania wyborcze:

dla obwodu opalenickiego w Opalenicy w niedzielę 17-go stycznia b. r. o godz. pół do 4-tej u p. Liszyńskiego,

dla obwodu bukowskiego w Buku w niedzielę 24-go stycznia b. r. o godz. 3-ciej po poł. u p. Knechtla,

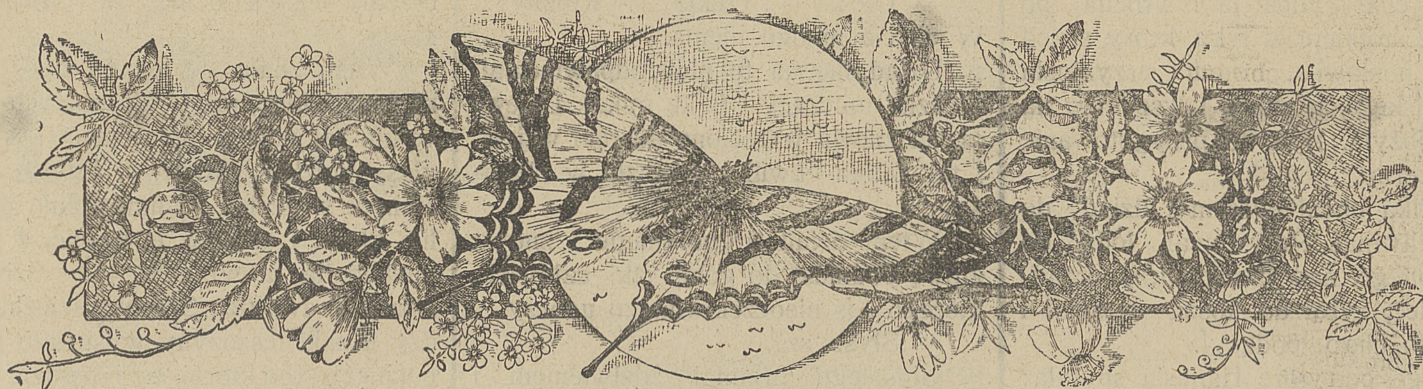
dla obwodu grodziskiego w Grodzisku w niedzielę 31-go stycznia b. r. o godz. pół do 3-ciej po poł. u p. Węchwicza.

O liczny udział prosi

Komitet wyborczy na powiat grodziski.



Do noweli Rawity „Smierć Wernyhory.“ . . . Gdy on grać na bandurze począł, gotowa była słuchać go do rana. Wacław Pawliszak.



Fr. Rawita.

Śmierć Wernyhory.

Baśń ukraińska.



Wacław Pawliszak,
znakomity malarz-artysta i rysownik, twórca czterech rysunków do noweli Rawity p. t. „Baśń ukraińska, z których reprodukcyę pierwszego obrazu dajemy dzisiaj na albumowej rycinie, padł przed kilku laty ofiarą krwawego zajścia w restauracyi Lijewskiego w Warszawie.

O kilka wiorst od Kaniowa był futor nad Rosią, w którym dziad stary, teorbanista, mieszkał. Przywędrował z za Dniepru przed laty pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu z całą rodziną, nabył futor i zagospodarował się. Syna nie miał, córki jeno. Żona umarła, córki za mąż do sąsiednich wsi powydawał — został sam na futorze. Nad zatoką Rosi, na niewielkim wzgórku, miał chatę, w której mieszkał. Hodował bydło, pszczoły, konie, siał trochę prosa i żyta, ryby łowił — i tak żył. Był to człek niegdyś, widać rycerski, bo w chałupie nad tapczanem, na bocznej ścianie wisiała krzywa szabla turecka, pistolety i strzelba janczarka, a nad głową — bandura.

Szabli, pistoletów i janczarki dziad nie używał nigdy; przynajmniej od chwili, kiedy na futorze zamieszkał, nikt strzału od niego nie słyszał. Raz na rok tylko, co wiosna, gdy słońce już się podniosło i świeciło ciepło, ściągał broń ze ściany i w milczeniu czyścił. Ani słowa wówczas do nikogo nie mówił, pomrukiwał tylko, broń rozbierał, czyścił uważnie, smarował tłuszczem, składał — i na tem samem miejscu wieszał. Czynność oczyszczania broni wiązała się widocznie z jakiemś smutnem wspomnieniem w jego życiu, bo wówczas przez kilka dni ludzi unikał, na Ruś z więcierzem uciekał, a ledwie nad wieczorem do domu wracał. Wróciwszy, teorban ze ściany zdejmował, grał do późnej nocy, a czasem drżącym, starczym głosem śpiewał.

Od kilku lat mieszkała przy nim wnuczka, Hanusia, dziewczyna ośmnastoletnia, która, matkę straciwszy, do dziada przywiązała się bardzo, na futor się przeniosła i gospodarstwo prowadziła. Dziad lubił dziewczynę, bo miała poetycką duszę, śpiewała pięknie, a gdy on grać na bandurze począł, gotowa słuchać go do rana.

Chatę otaczały dęby i jawory, tak, że ją od drogi, o kilkaset kroków przez las wiodącej, zasłaniały zupełnie.

Wieczór już się zbliżał — cichy, majowy wieczór. Od niedawno rozpękłych liści wiatr lekki przynosił świeży, czysty zapach. Ptactwo, ożywione świeżością wieczoru, świergotało ostatnie przed snem piosenki, a zachodzące słońce już czuby dębów pozłacać poczęło. Na dziedzińcu, pod dębem, na długiej ławie, zwrócona ku Rosi, siedziała Hanusia. W dziurę wywierconą w ławie, wetknięta była kądziel z nawiniętem przędziwem, które dziewczyna na cienkie nici przerabiała.

Przędła, pośpiewując półgłosem i na wielką płaszczyznę rzeki, płynącej przed nią, spoglądała. Środek rzeki błyszczał i migotał od słońca, otoczony w zielone ramy oczeretów, tataraków, łóz. Gdy w lesie kończyło się życie, zdawało się, że budzić się poczyna na stawie.

Śród nadbrzeżnych chórów żab, które ogłuszającem echem odbijały się od lasów, zlewając się niejako w jeden ton, odzywały się inne głosy: w oczerecie huczał bąk, z dalekiej, ustronnej zatoki kaczor krzykliwym głosem dawał sygnał do odlotu na nocne żerowisko, łopotały skrzydła zrywających się gęsi i słychać było daleki jęk przelatujących żórawi. Pomimo tej wrzawy, cisza zalegała dokoła — pełna słodyczy, ukojenia, poezyi.

Hanusia przędła, spoglądając na rzekę.

— Już — szepnęła sama do siebie.

Słowo to było sygnałem dla niej. Obaczyła daleko wychylającą się z oczeretów łódkę dziada. Powstała ry-

chło, do chaty pobiegła i wróciła po chwili ze stołkiem w ręku, który przed przyżbą postawiła. Potem przyniosła łyżki, miskę, sól, chleb, i wszystko na stołku złożyła. Było to przygotowanie do wieczerzy.

W kilka chwil potem i dziad do brzegu zawinął. Przywiązał łódź do pala, wbitego nad brzegiem, uporządkował sieć, ryby do kosza wrzucił i powoli do chaty podążył.

Idącego pod górę Hanusia spytała:

— Czy dawać wieczerzę?

— Dawaj.

Przydybał do przyźby i przed stołkiem usiadł. Był jakiś posępniejszy, niż zwykle. Za chwilę Hanusia przyniosła w obu rękach garnek i misę wypełniła. Buchnęła para do góry: w powietrzu rozszedł się zapach jagłanego krupniku. Siedzieli przy misie, milcząc. Dziad, zamyślony, o czemś, nie odzywał się; Hanusia nie śmiała o nic pytać. Oboje jedli bez apetytu, powoli. Wreszcie dziad łyżkę drewnianą oparł o krawędź misy i schyloną nieco głowę podniósł.

Hanusia zapytała:

— Nie smakuje wam?

W dźwięku jej głosu dziad niepokój usłyszał.

— Nie chcę... — odrzekł uspokajająco.

Wyjął z kieszeni kapciuch z tytuniem, glinianą lulkę o zielonej polewie na krótkim, płaskim drewnianym cybuszku i nałożywszy w nią tytuniu, powoli ogień krzesać począł. Iskry leciały, ale hubka nie mogła się zatlić. Pasował ją znowu do krzemienia, przykładał i znowu krzesał.

— Pewnie zamokła — rzekł sam do siebie.

Hanusia przyniosła kawałek węgla na dłoni, a niosąc, przerzucała go z jednej ręki do drugiej. Dziad zapalił i, siedząc na przyźbie, pykał z lulki powoli. Dziewczyna uprzątnęła wieczerzę i znowu usiadła do kądzieli.

Chwilkę panowała cisza.

Wtem dziad, głowę pochyliwszy do nasłuchiwania, zapytał:

— A to co?

Hanusia nasłuchywała także. Dokoła panowała cisza zbliżającego się wieczoru, przerywana tylko wrzawą i hałasem przelatującego ptactwa i żab.

— Nic, didusiu... to od stawu taki hałas... — na pogodę — dodała.

Odpowiedź nie zadowoliła starego.

— Pójdź-no, popatrz na bandurę...

Dziewczyna wyszła i wróciła za chwilę.

— Jest... wisi... przynieść wam może?

— Nie... zdało mi się, że ktoś w bas trącił...

Hanusia spojrzała na dziada niespokojnie.

— Oto!... — rzekła. — Któżby?... W chacie nikogo niema.

Dziad nic na to nie odpowiedział. Siedział milczący i fajkę pykał. Dziewczyna znowu wrzeciono do ręki wzięła. I tak długa chwilka przeszła w cichości.

Wtem dziad drgnął nagle i znowu głowę podniósł do góry, jak człowiek, którego coś nieoczekiwanego uderzy.

— Słyszysz?

Głos jego brzmiał zdziwieniem i przerażeniem, które udzieliło się dziewczynie.

— Co wam takiego? Bóg z wami... nic niema...

— Ale co ty mówisz!... ktoś w struny trącił... a tak mocno...

Dziewczyna zerwała się i pobiegła do izby. Po chwili wróciła, niosąc bandurę w ręku. Zerwany bas wlókł się za nią. Na twarzy jej malowało się trochę przestrachu, niepewności i zdziwienia.

— Cur jemu! — rzekła. — Tak mocno była naciągnięta, że jeszcze drgała jakem weszła, a ja nic nie słyszałam...

Dziad nic na te uwagi nie odpowiedział. W milczeniu wziął bandurę z rąk dziewczyny i uważnie przyglądać się jej począł. Fajkę z ust wyjął i obok siebie na przyźbie położył. Siedział tak długą chwilę, bandurę w ręku kręcił, pomrukiwał, a potem westchnął. Hanusia nie spuszczała oczu z niego.

— Co wam, didusiu?

— Nic, moje dziecko... w drogę pora... trzeba już iść...

Dziewczynie oczy rozszerzyły się ze zdziwienia. Zdawało się jej, że coś przeczuwała, czego zrozumieć nie mogła. Myślała, że może dziad wybiera się do kogo z krewnych.

— Jakże tak na noc, didusiu?

— Trzeba, detynko...

Wstał z przyźby, dziewczyna także od kądzieli wstała. Dziad zbliżył się do niej, za szyję objął, do siebie przygarnął i w głowę pocałował.

Nie powiedzieli do siebie ani słowa. Dziad był smutny, dziewczynie nie wiedzieć dlaczego łzy w oczach się kręciły.

— Jest dla mnie czysta bielizna? — zapytał, kroki swoje skierowawszy do drzwi.

— Jest, didusiu, w bodni. Wyjąć może?

— Nie, ja sam wyjmę... muszę się przebrać... a jakże...

Dziewczyna z podziwieniem patrzała na dziada, który wydał się jej jakimś dziwnym i tajemniczym, jakim nigdy nie był.

Gdy stary wszedł do chaty i drzwi za sobą zamknął, Hanusia usiadła do kądzieli, ale zdawało się, że palce odmówiły jej posłuszeństwa, tak się obracały leniwie, a nić co chwila się rwała.

Wtem zdało się jej, że słyszy jakieś echa inne, niż te, do których przywykło jej ucho: dolatujące od lasu głosy ludzkie, rozmowy, śmiech. Powstała z siedzenia i mimowolnie pochyliła głowę i ucho w tę stronę, z której dochodziła ta wrzawa, taka dziwna i różna od zwykłej. Szeroką ścieżką między krzaki leszczyny wysuwało się na polankę, śródktórej tu i owdzie rozrzucone były rozłożyste dęby, jakieś pstrokato ubrane towarzystwo. Ogromnie ją to zaciekawiło. Stanęła i patrzała.

„Cygany jakieś, czy co?“ — pomyślała sobie.

Uderzył ją niezwykły ubiór tych ludzi, który czerwienił się purpurą, błyszczał i migał od słońca, jak szkło różnobarwne, to znowu wydawało się jej, jak gdyby niektórzy z tych ludzi okryli się liściem zielonem. Szli po dwoje, śmiejąc się i ruszając rękoma koło nosów i twarzy, jakby muchy opędzali, nachylając się ku sobie i podrygując.

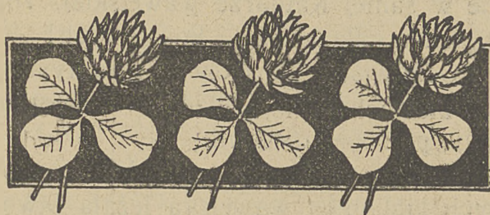
— Pany jakieś... ale takie cudackie!

Widziała kilka razy w życiu swojem panów — w Bohusławiu i w Kaniowie na jarmarku, dokąd jeszcze z matką chodziła, ale takich dziwnych nie widziała nigdy jeszcze. A przecież nie było wątpliwości, że to panowie.... Szczególnie zaciekawiła ją przodem idąca para: on miał na sobie surdut czerwony i zieloną kamizelkę; rękawy przy surducie wąziuteńkie, a na końcu szersze nieco i frendzelkami obwieszane tak, że mu te frendzelki, pełne dziurek, niemal palce zakrywały. Spodeńki króciutkie, prawie za kolana, czerwone pończochy i płytkie trzewiki zamiast butów, tak, jak gdyby kto cholewy uciął po same zapiętki. U pana, ile razy tylko odwrócił się, widać było z tyłu dwa ogonki, które się kręciły z nim razem. Pani miała na głowie coś białego i szerokiego; gdyby nie białość, podobne byłoby do liścia łopucha; a na wierzchu tego ktoś kwiatów nasypał. Krótka zielona sukienka, jak u tych Cyganek, które tańczą czasem na jarmarkach, a koło ręki i piersi takie same, jak u pana, frendzelki. Ci, którzy szli za nimi, tak samo byli ubrani, tylko w innych barwach. Wszystko to chychotało, śmiało się, szło w podskokach i nareszcie zaświeciło na polance, jakby kto maków, bławatków i groszku różnobarwnego nasiał.

— Do nas idą... *hospody... oce!* Co to takiego? A tu did jak raz *szmatja* zmieniają... *Łyszeńko-ż moje!*

Wrzawa z nieznanych dźwięków zbliżała się ku niej.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Pieśń Wernyhory.

(Rok 1771.)

Od futora do futora
Wieje tuman siny,
Wyszedł z chaty Wernyhora,
Lirnik Ukrainy.

Wyszedł z chaty Wernyhora,
Na to puste pole,
Zapłonęły ogniem, łzami,
Źrenice sokole...

I popatrzał się na zorze,
Pieśń zanucił z cicha,
A wiatr wtórzy mu żałośnie,
Po kurhanach wzdycha.

— Hej ty Polsko, ty Korono,
Źle ci dola wróży...
Giną, giną orły twoje,
Wśród wichrów i burzy!

Giną, giną orły twoje,
Litewskie pogonie,
Bo nie ojca, ale wroga,
Królem masz na tronie!

Bo nie ojca, ale wroga
Masz, Ojczyzno Lasza,
Co srebrniki weźmie carskie,
Za zdradę Judasza!

Hej, ty panie Poniatowski,
Ty stolnika synie,
Zagubisz ty Polską ziemię,
I lud w Ukrainie!

Hej ty panie Poniatowski
Ty carycy sługo,
Przedasz, przedasz ty Ojczyznę,
W tę niewolę długą!

Oj zapozwie cię Ojczyzna,
Przed straszny sąd Boski,
Przeklną ciebie polskie matki,
Panie Poniatowski!... —

Po mogiłach orły kraczą,
Wieje tuman siny...
Z wichrem śpiewa Wernyhora,
Lirnik Ukrainy.

Jan Sawa.

Złote listki

Uczucie spali, czego myśl nie złamie.
A. Mickiewicz.

* *

Szlachetność jest perłą, której nie można rzucić ni w puhar miłości, jak Kleopatra, ni w czarę zemsty.
Z. Krasicki.

Czterdziestoszósta rocznica powstania styczniowego.

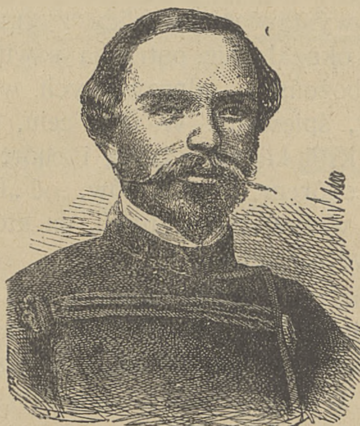
Lat 46 upłynie w dniu 22-go b. m. od rozpoczęcia ostatniej walki orężnej o wolność i niepodległość Polski, walki orężnej, która zapisała na kartach dziejów naszych dnie pełne poświęceń, męczeństwa i płomiennej chwały.



Generał Edmund Taczanowski
odniósł w 1863-im roku świetne zwycięstwa pod Pyzdrami, Ignacewem i Sendziowcami. Po poniesionej klęsce pod Kruszyną, złożył dowództwo i wyjechał za granicę.

Z powodu wzmiankowanej rocznicy zamieszczamy podobizny wodzów z 1863-go roku, odsyłając Czytelników po bliższe szczegóły o powstaniu do drukującego się w felietonie „Pracy“ dzieła profesora J. Baczyńskiego p. t. „Naród polski pod obcem panowaniem“ oraz do zamieszczonej w zeszłym roku w „Pracy“ narodowej powieści p. t. „Na skrzydłach Ikara.“

* * *



Kazimierz Mielęcki,
dzielny przywódzca powstania w Kaliskiem w 1863-im roku, po licznych zwycięskich utarczkach (pod Izbicą, Kazimierzem i t. d.) umarł z ran odniesionych w Mamliczu 10 lipca 1863 r.

Kwiat młodzieży naszej poległ na polach bitew, lub zgasł w lochach cytadeli. Tysiące ich pochłonęły kopalnie Sybiru, tysiące rozstrzelonych zostało na placu kaźni; tysiące zginęło na szubienicach.

A jednak wypadki 1863-go roku ani nie wcisnęły nas do trumny, ani powaliły o ziemię...

Żyjemy, choć życie nasze całe ręce wrogów skrępowały tak, że skarga nie może wybiedz na usta...

Bez skargi żyć można — bez wiary i pracy niepodobna, więc wierzmy i pracujmy, a przyszłość nasza.



Ochotnicy.

(Rok 1863).

O wolności, jakżeś droga!
Jakże święte imię twoje!
Oto obcy z nami idą
W narodowe boje!

Callier, Francuz, kraj przebiega,
Z mężną garścią swej konnicy,
Pod Warszawą samą — Moskwie
Wiwat dał z krucicy!

Young się pod Wsią Nową bije,
Mężny z obliczem surowem —
Dał Moskalom tam pamiętne,
A zginął — pod Brdowem.

I ty nie bądź zapomniany
Stanisławie, dzielny Beki,)*
Coś do Polski z Włoch aż przyszedł,
Przez góry, przez rzeki.

Jak lew biłeś ty się śmiało!
Nasza sprawa — twoją sprawą,
Aż zginąłeś — rozstrzelany —
Bracie nasz, pod Mławą!

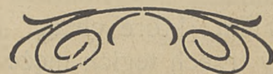
We Florencyi, tam pieśniarza
Uwieczniło ciebie dłóto —
Tam śmierć twoją bohaterską
W marmurze wykuto.

Słup już wbity, wojsko w szyku,
Z jasną twarzą Becchi stoi,
Nie da oczu związać sobie,
Śmierci się nie boi.

Przywiązali go do słupa,
Wzięli na cel już morderce...
— Niechaj żyje Polska! — krzyknął,
I padł — trafion w serce!

Jan Sawa.

*) Stanislao Becchi — uwieńczony rzeźbą Lenartowicza z Santa Croce we Florencyi.





Wodzowie powstania z roku 1863.
1. Marcin Borelowski (Lelewel). 2. Dyonizy Czachowski. 3. Maryan Langiewicz.
4. Anna Pustowójtówna. 5. Pułkownik Rochebrun (Francuz).



Odszukane skarby.

W swoim czasie „Dziennik Kijowski“ zamieścił treściwą wiadomość o „odkryciu na Wawelu nieznanej dotychczas, a mającej olbrzymią wartość biblioteki rękopisów i nut.“ Z dniem każdym, w miarę poszukiwań, przybywają coraz nowe szczegóły, rozjaśniające ten doniosły w dziejach naszej kultury fakt.

Otóż biblioteka ta istniała od dawna, bo aż od XII. w. po Chrystusie, ale nie żyła..., zamarła. Foliały, rękopisy i nuty, jakie wieki na Wawelu nagromadziły, leżały nie katalogowane, w nieporządku i nieładzie, aż do dni naszych. Dopiero w bieżącym roku, wzięto się na seryo do pracy, aby te skarby naszej i obcej kultury uporządkować, czyli uczynić je dostępnemi, a więc przywołać do życia.

Już po roku pracy zdołano zorjentować się w materyale. A materyał to nielada. — Rękopisy pergaminowe sięgają XII. w.

„Decreta Romanorum“ to egzemplarz, prawie że jedyny w tym zakresie. Księga gruba, karty pergaminu zżółkły, czasem strawione, zachowane jednak tak, że robią wrażenie, iż drugie lat 900 będą mogły przetrzymać. Ogromne „kancyonały“ pergaminowe, z których śpiewano pieśni obrzędowe, po 400 kart mające, o wymiarach 1 m. 10 cm. ×0,80 cm., które chcąc podnieść na stół, siły trzech tęgich mężczyzn potrzeba. Akt kanonizacyi Św. Stanisława, rękopisy Kadłubka, Długosza i innych. Biblia, wzięta pod Grunwaldem przez rycerzy Jagiełły, oto celniejsze perły rękopisów wawelskich. W biblii owej wypisał jakiś nieznany, że w bitwie grunwaldzkiej wyginęło tylu braci zakonnych, że św. Piotr w dniu tym nie mógł utrzymać porządku u wrót niebieskich. A napisano to wspomnienie nie złośliwie, lecz z głęboką wiarą, że zakonni rycerze, jedynie do nieba po śmierci pójść mogli. Inicyały o rozmiarach i barwach takich, o jakich dzisiejsi malarze marzyć nie śmią, inicyały, malowane na blasze szczerozłotej.

Jeżeli bibliotekę rękopisów wawelską oceniają znawcy na miliony marek wartości, to bibliotekę muzyczną trzeba równoznacznie, jeżeli nie wyżej, cenić.

Biblioteka wawelska nutowa sięga czasów Zygmunta Starego.

Po wystawieniu kaplicy zygmuntowskiej okazała się potrzeba uświetnienia nabożeństw, odprawianych w tej kaplicy, śpiewami. W tym celu, ufundował król kapelę własną i chór, nazwany chórem rorantystów, od „Rorate“, tj. wotyw codziennych, na których rorantyści śpiewali.

Chór ten wkrótce zajął wobec swego kraju to stanowisko, jakie zajmuje chór kaplicy sykstyńskiej w Rzymie wobec Włoch.

Wydał też chór rorantystów wielu twórców, a nawet i polskiego Palestrinę w osobie Mikołaja Gomółki.

Otóż dowód kultury tego chóru leży dziś przed nami, w postaci pozostałych nut z XVI. w.

W owym czasie odprawiało się do 200, wyraźnie do dwustu mszy dziennie w samej Katedrze wawelskiej. Toż to armia cała księży i kościelnych!

Oczywiście, że i chór rorantystów nie próżnował, co widać po zbiorach, jakie po sobie zostawił.

Rzecz prosta, że przez wieki, w których biblioteka wawelska leżała otworem dla wszystkich, kiedy zamieszki polityczne przewalały się przez nieszczęśliwy kraj, nie można było myśleć o bibliotece; ludzie złej woli, czy małej kultury poniszczyli wiele, ale to, co zostało do dziś, pozwala nam sądzić o wielkiej muzyce polskiej w XVI. i XVII. wieku.

Długi czas nie wiedzieliśmy zupełnie o mistrzach naszych, dopiero poszukiwania w ostatnich latach przyniosły niespodziewane plony.

Wacław Szamotulski, Marcin Lwowczyk, Mikołaj Zieliński, Mikołaj Gomółka, Wojciech Długoraj, Marcin Łaski, Piotr Elert, Marcin Mielczewski, Bartłomiej Pękiel i wielu, wielu znanych i wielu nieznanych, których rękopisy niepodpisane na zawsze tajemnicą twórców zostaną.

Nazwiska niektóre wyliczone, to wszystko kompozytorowie wielcy, tak wielcy, jak Palestrina, Bach, Hendel.

I jaką byłaby dziś muzyka polska, gdyby nie nieszczęścia polityczne!

Prawdopodobnie mielibyśmy i my swoich Haydnów, Mozartów, Bethovenów, Mendelsohnów, Wagnerów.

A zatem biblioteka się znalazła, ale to jeszcze nie wszystko. Nuty na papierze są dla wybrańców zrozumiałe, większość musi usłyszeć daną kompozycyę, aby zdać sobie sprawę ze znaczków, nic dla nich nie znaczących.

Znalazło się u nas i to drugie tj. możność ożywienia nut.

Znaleziony rękopis w bibliotece wawelskiej „missa brevis“ B. Pękiela był odśpiewany. W Krakowie ogromne zainteresowanie nietylko faktem znalezienia rękopisów, lecz i osobą Pękiela. Kto to był?

Pękiel był organistą nadwornym króla Władysława IV. i drugim kapelmistrzem opery królewskiej.

Z czasów Władysława IV., poeta Jarzębski uczcił talent Pękiela dwuwierszem:

„Pękiel zacny organista,
Dobry z nimże komponista.“

Szczegółów jego żywota nie znamy. Wiadomo, co widać ze znalezionych rękopisów, że był bardzo wykształconym muzykiem. W „missa brevis“, Sanctus i Benedictus mają tak wzniosłe tematy, tak są znakomicie opracowane, że do wyjątkowych arcydzieł zaliczyć je należy.

Kapelę i operę Władysława IV. uważano za jedną z najlepszych w Euro-

pie. Dziwić się temu nie można, jeżeli się zważy, że z takich mistrzów się składała, jak Pękiel.

Sam teatr zachwycał bogactwem dekoracyi i przyrządów scenicznych.

Jarzębski w „Gościńcu“ tak mówi o cudach teatru Władysława IV:

„Teatrum to jest z perspektywami, budowane w zacne kolumny; tam kunszty podnoszą się i schodzą na dół, inne śrubami w rozmaite obracają się strony. Na wierzchu lazurowe niebo ze słońcem, albo miesiącem, gwiazdami i planetami.“

Przedstawienie zaś samo tak opisuje:

„Odprawując komedyą
Śpiewaniem, a melodyą
Sztuczną—jakby rozmawiali
Sobie, i zaś przymawiali.
W klawicymbał pięknie grają,
Nogi im. po włosku drgają.
Kagańców rzesz niezliczona;
A na gankach naznaczona
Pewna minuta starszego.
Nad muzykami pierwszego,
Którym, jako gdy rozkaże
Albo im znakiem pokaże,
W skrzypki rżną intermedya,
Aż się skończy komedya.
Arfy rzadko używają,
Z lirą nie często bywają“.

W takiej to atmosferze żył
„Bartłomiej Pękiel, zacny organista
Dobry z nimże komponista.“

* * *

Biblioteka muzyczna i książkowa wawelska rozjaśni nam wiele nieznanych i zapomnianych dziś kwestyi.

Księgi pamiątkowe i akta sprawozdań biskupów z objazdów swych dyecezyi, zapoznają nas z wielu zwyczajami, obyczajami, etyką i estetyką ubiegłych stuleci.

Rękopisy muzyczne dadzą nam nietylko obraz kultury minionych lat, ale ich sentyment, zamknięty w pięcioliniach utworów, które mamy co niedzielę słyszeć na nabożeństwach, jak zmartwychpowstałe, przemówią do nas językiem tych, co na inne, lepsze czasy patrzyli, co znali swą siłę i swą moc wyrażali, chwaląc nią Wszechmocnego, a jeżeli kiedy zatamuje się ich twórcza silna linia w lirykę, to z tą dziwną świadomością przeczucia nas i naszych czasów niedoli.

Sposobność raz stracona nie wraca.
J. Słowacki.

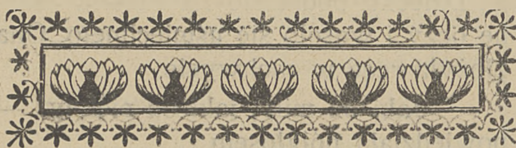
* * *

Gdybyś miał czyste sumienie, nie obawiałbyś się śmierci.
Sw. Tomasz a Kempis.

Epilog powstania styczniowego (1863 r.)



Śmierć wygnańca w kopalni sybirskiej.



Matylda Serao.

Tatuś nie ma czasu.

(Nowela z włoskiego).

W godzinach cichych rozmów, gdy zwierzenia same wyrywają się z duszy, w chwilach nagłych porywów szczerości, kiedy przyjaźń staje się coraz tkliwszą i głębszą, Flawia chętnie mówiła o swojem dzieciństwie, o tych wesołych czasach bez troski, kiedy świat cały był — słońcem, radością, pieszczotą... Wspomnienia te wprawiały ją w jakieś zachwycenie. I teraz, patrząc tęsknie w dal, wspominała wzruszonym głosem tę czułość i pieszczoty, jakiemi otaczała ją miłość macierzyńska. Potem ekstaza jej przeszła nagle w głęboki smutek, głos głucho zadźwięczał i ledwo dosłyszalnie wyszeptała:

— Mama... mama...

I, jakby pragnąc oderwać się od tych ciężkich myśli, wzięła rękę Cezarego, a spoglądając mu w oczy, przemówiła:

— Powiedz mi coś o sobie, drogi mój.

Cezary uśmiechnął się i w dalszym ciągu palił cygaro z miną człowieka spokojnego i zadowolonego z siebie.

— Byłem dzieckiem bardzo silnem, bardzo zapalczywem, kochana. Oto i wszystko.

— I nic więcej?

— Nic, droga.

— No, to... — wyrzekła, spuszczając głowę — opowiedz mi o swoim chłopcu.

Twarz Cezarego spoważniała na chwilę, popatrzył na nią badawczo, jakby powziął jakieś podejrzenie. Lecz w oczach Flawii wyczytał tyle nieśmiałej ciekawości, tyle serdecznego współczucia, że podejrzenie jego natychmiast zniknęło. Wówczas z dumnym uśmiechem szczęśliwego ojca zaczął jej mówić o swoim synu, któremu na imię jest Paolo, jak i jego dziadowi, a który nie pozwala już nazywać się bebe, gdyż jest duży i liczy już lat dziesięć.

— A włosy ma jasne, jak ty? — zapytuje Flawia, pilnie słuchająca.

— Jasne, tak, i wijące się. Gniewa się bardzo, kiedy mówię, że nosi peruczkę. Jest ogromnie czuły na żarty, nie znosi, gdy z niego żartować. Blednie wówczas cały, ale nigdy nie zapłacze; siada sobie w kąciku i pogrąża się w zadumie. Mówi się do niego — nie odpowiada. Cierpi i rozmyśla, jak dorosły.

— Może on jest słaby, chorowity? — szepcze Flawia wzruszona.

— Nie, ale jest ogromnie wrażliwy, może nawet zanadto wrażliwy. Muszę koniecznie wykorzenić z niego tę nadczułość. Jeśli nauczy się za wiele kochać, za wiele pragnąć, za wiele cierpieć wskutek braku tego, co kocha i czego pragnie, wówczas... biedne dziecię moje!

Nastąpiło przykre milczenie. Rozmowa, stając się namiętną, utraciła spokój i wdzięk. Cezary spróbował znowuż mówić o małym, lecz wydało mu się to drażliwem, gdyż, wspominając o Paolu, wywoływał równocześnie obraz matki jego, młodej, oszukanej żony. Przez szacunek dla kobiety, której już nie kochał i przez delikatność dla tej, z którą obecnie był związany, nie mógł wymawiać imienia żony w obecności kochanki. Zamilkł.

Nagle Flawia wstała ze swego miejsca, podeszła ku niemu i ze zwykłym jej, kobiecym wdziękiem, ujarzmiającym wszystkich, powiedziała:

— Czemu nie przyprowadzisz kiedy do mnie swego chłopca?

Po raz pierwszy Flawia zwróciła się do niego tak poprostu z tą szczególną prośbą. Po twarzy Cezarego przebiegł cień niezadowolenia i odparł szybko:

— To niema sensu!...

Flawia wszakże nie ustępowała. Ilekroć w Cezarym budził się silniejszy poryw miłości ku niej, zawsze stawała się ona bardzo dobrą, bardzo serdeczną i usiłowała nakłonić go do przyprowadzenia jej małego. Napróżno Cezary pomijał milczeniem jej aluzye lub starał się zmienić rozmowę; Flawia powracała do niej znowuż, niezachwiana w swojem pragnieniu. Tym razem Cezary, przekonany, iż ona nie odczuwa całej swej niedelikatności, rzekł:

— Dzieckiem rozporządza matka; ona nie zechce puścić go do ciebie; powinnabyś, zdaje się, zrozumieć to.

Nastąpiła burzliwa scena. Flawia wyrzucała sobie swą grzeszną miłość i winę składała na Cezarego; płakała, rozpaczała, załamywała ręce, przeklinała chybione swe życie i nieszczęsną godzinę, w której po raz pierwszy spotkała Cezarego. Usiłował utulić ją, lecz ona nie uspakajała się, wypowiadając w dalszym ciągu zdawna w niej nagromadzony ból i gorycz fałszywego położenia. Doszło do tego, iż zaczęła mówić o żalu i wyrzutach sumienia, ubolewać nad utraconem szczęściem życia rodzinnego, o wszystkiem, co poświęciła dla Cezarego. Musiał ją pieścić, szeptać słowa pociechy, po dziecinnemu naiwne, wypowiadane bez wiary, gdyż to, co mówiła ona, było prawdą, gładzić jej włosy, na wszelki sposób ukoić jej cierpienie, by zamilkło i — wreszcie skończyło się na tem, iż przyrzekł wkrótce przyprowadzić do niej dziecko.

— Zostawisz go tutaj samego ze mną, drogi?

— Zostawię, kochana, byleś tylko nie płakała.

— Zostawisz mi go na godzinę, na całą godzinę?

— Tak, kochana!

— O ty, moje szczęście, moja radość! — wyszeptała uspokojona i szczęśliwa.

. . . .

— Paolo — rzekł ojciec, delikatnie popchnąwszy chłopca naprzód — oto ta pani, która pragnęła cię zobaczyć.

Dziecko podniosło na Flawię czarne oczy i wesoło się uśmiechnęło. Ona złożyła ręce w zachwycie.

— Jaki on miły, jaki on piękny! — powiedziała półgłosem.

Potem, pochyliwszy się ku ojcu, szepnęła:

— Cezary, zapytaj go, czy chce mię pocałować?

— Paolo, chcesz pocałować panią?

— Tak! — odparł chłopczyk.

Ruchem, pełnym subtelnego wdzięku, ujął jej śliczną, pokrytą pierścionkami rękę i ucałował ją.

— Brawo, Paolo! Postąpiłeś, jak na uprzejmego kawalera przystało! — z dumą zauważył ojciec.

Flawia patrzyła wciąż na dziecko.

— Czy zechcesz, kochanie, zostać tu z panią, dopóki ja nie powrócę?

— Prędko powrócisz, tatusiu?

— Wkrótce, kochanie.

W obecności dziecka nie ośmielili się podać sobie rąk, zamienili tylko szybkie, przelotne spojrzenia.

Flawia, pochyliwszy się, ujęła Paola za rękę i poprowadziła go do salonu, przed otwarty balkon, jakby pragnąc lepiej mu się przyjrzeć. Chłopczyk stał wyprostowany w swojem aksamitnem ubranku, mnąc w rękach aksamitny beret.

— Oczy masz zupełnie takie same, jak twój tatuś — szepnęła Flawia, wziąwszy jego rękę i delikatnie ją pieszcząc.

— Tak, ale za to usta mam takie, jak mama — z dumą odparło dziecko.

— Czyżbyś nie życzył sobie być podobnym do tatusia? — głos jej drgnął z lekka.

— Tatuś jest piękny, ale mama jeszcze piękniejszą: włosy ma takie długie, śliczne, a ręce takie maleńkie. Pani nie zna mojej mamy?

— Nie.

— A czemu pani jej nie zna?

— Tak jakoś — wyszeptała, opuszczając głowę i oczy jej napełniły się łzami.

Paolo popatrzył na nią zdziwiony i zamilkł. Wstała, wzięła ze stołu cukierki i podała mu je. Podziękował grzecznie, lecz wciąż na nią spoglądał.

— Czemu nie bierzesz?

— Jestem niezdrów, dziękuję.

— Jeżeli będą ci smakowały, to weź je, Paolo... Czy w szkole nauczyli cię tego?

— Nie, to mama tak mnie nauczyła. Ja do szkoły nie chodzę.

— A kto cię uczy?

— Mama. Nudziłaby się, gdyby od rana do godziny trzeciej była sama. Więc też daje mi lekcye do godziny dwunastej.

— No, a o dwunastej?

— O dwunastej zjadamy obiad, mama i ja.

— Sami?

— Tatuś nigdy nie je z nami obiadu. Jest bardzo zajęty; ma dużo pracy, bardzo dużo pracy!

Krótkie milczenie.

— Weź cukierków, Paolino.

— Bardzo zadużo — rzekł Paolo, uciekając się do ostatniej, poważnej wymówki.

— Podzielisz się z którym ze swych kolegów.

— Ja nie mam kolegów.

— Z kimże się bawisz?

— Z mamą, gdy mam ochotę.

— A ona nie zawsze ma ochotę?

— Nie.

— Czemu?...

Dziecko popatrzyło na nią i zamilkło. Po twarzy Flawii przebiegła chmura głębokiego smutku. Ale dzie-



„Śnieg prószy, wicher smętnie nuci,
„Nie płaczcie, dla was wiosna wróci!
(Obraz Kaulbacha.)

cko nic nie wiedziało i nie mogło zrozumieć pytania.

— Więc nie bardzo ci wesoło? — zaczęła Flawia, ciężko westchnąwszy, jakby usiłowała uwolnić się od jakiegoś ciężaru.

— Wcale nie, mnie wesoło! Mama haftuje, gra na fortepianie, a ja oglądam obrazki w książkach, bawię się cegiełkami, z których buduję domki, albo przypatruję się, jak ludzie chodzą po ulicy.

— I zawsze sami?

— Tak. Tatuś chętnie byłby z nami, ale on ma bardzo dużo pracy, bardzo dużo!

— Kto ci powiedział, że on ma dużo pracy?

— Mama.

— A!

— Mama opowiada mi także bajki, kiedy mi nudno. Tylko one wszystkie takie smutne, te jej bajki; chce mi się przy nich płakać. Czy pani nie zna bajek, przy których możnaby się śmiać?

— Nie, kochanie! Ona opowiada ci bajki wieczorami?

— Tak, wieczorami. Jabym bardzo chciał pójść do teatru; tatuś zaprowadził raz do teatru mnie i mamę. Ale teraz tatuś nie może chodzić z nami; teraz wcześnie kładziemy się spać. On wraca do domu późno, w nocy, całkiem już w nocy i pocichutku przechodzi przez nasz pokój, aby nas nie obudzić. Ale mama nie śpi nigdy i wszystko słyszy. Czasem i ja nie śpię. Wówczas mama mówi do mnie szeptem: „tatuś wrócił.“ Potem, kiedy tatuś przychodzi, żeby mnie pocałować, udajemy, że śpimy.

— I tatuś całuje cię?

— Tak i odchodzi potem na palcach, tak samo, jak wszedł.

— A mamy nie całuje?

— Nie — powiedziało dziecko i zamyśliło się.

— Więc ty śpisz w tym samym pokoju, co mama?

— Tak, dawniej sypiałem gdzie indziej. Ale tatuś wyjechał raz w podróż na miesiąc, a mama bała się spać sama i kazała przenieść moje łóżeczko do swego pokoju. Od tej pory zostałem już u niej.

Flawia ciężko opadła na poręcz kanapy; w głowie się jej kręciło. Dziecko spoglądało na nią łagodnemi, zdumionemi oczyma.

Nagle Flawia drgnęła, podniosła głowę, a na twarzy jej wybiło się tak straszne cierpienie, że dziecko mimowolnie wyciągnęło do niej rękę, jak do matki, mówiąc:

— Co tobie?

Głuche łkanie wyrwało się z jej piersi, gdy całowała śliczne, wdzięczne dziecko, naiwnie przerażone tą

dziwną sceną. Łzy jej staczały się po buzi i szyi Paola.

— Niech pani nie płacze, niech pani nie płacze! Wszystko będzie dobrze.

— Ja już nie płaczę, widzisz, nie płaczę. Pocałuj mnie tak, jak swoją mamę.

Objął ją za szyję obu rączkami i ucałował.

— Żegnaj, kochanie! Zaczekaj tutaj chwilkę. Zaraz powróci tatuś i odprowadzi cię do domu, a ja muszę iść...

— Czy mam powiedzieć mamie, że byłem tutaj?

— Jakto?

— Tatuś nie pozwolił mi mówić o tem.

Zastanowiła się. Potem, nie wahając się już, powiedziała:

— Powiedz jej, powiedz mamie, że byłeś u Flawii.

Na chwilę jej śliczna ręka spoczęła na jego lokach, jakby go błogosławiąc.

. . . .

Flawia i Cezary nie spotkali się już nigdy.



„Telegrafowanie“ myśli.

Zjawiska t. zw. „telepatii,“ czyli przenoszenia myśli na odległość, znane są od dłuższego czasu, a sam termin egzystuje mniej więcej od lat 20. Łączą się one ściśle z dziedziną hypnozy, a wśród niej należą do najmniej może zbadanych. Obecnie dużą sensacyę wywołały doświadczenia dra. Nauma Kotika z Moskwy, będące wynikiem wieloletnich jego badań i zmierzające do ustalenia nowych niejako form telepatii.

Naturalnie należy je przyjmować z pewnem zastrzeżeniem, jakkolwiek bowiem eksperymenty doktora moskiewskiego znalazły już oddźwięk w prasie zagranicznej, jednakże powagi naukowe wyrażają się o nich dotychczas oględnie, a nawet z widocznym pesymizmem.

Doświadczenia dra N. Kotika polegają na komunikowaniu myśli na odległość za pośrednictwem kontaktu bezpośredniego lub przy pomocy pośrednika. Czternastoletnia córka doktora z zawiązanemi oczyma i zatkanemi uszami odgadywała podawane jej myślowo słowo ojca, gdy tenże trzymał ją za zgięcie ręki; eksperyment udawał się trudniej, gdy ojciec stał na miękkim dywanie, a pomiędzy nim a córką stała jeszcze trzecia osoba. Jeżeli eksperymentujących dzieliły drzwi, odgadywanie myśli ustawało.

Tu jednak następuje najciekawsza część eksperymentu. Przez dziurkę od klucza przeprowadzono drut, który w celu uniemożliwienia sygnałów owinięto skrupulatnie na klamce, poczem połączono ręce eksperymentujących. Początkowo doświadczenia nie udawały się, w końcu jednak dziewczynka odgadła poddaną jej melodyę, oraz wykonała zlecenie ojca (wejście na krzesło). Doświadczenie to możnaby upodobnić z telegrafowaniem myśli za pomocą przewodnika.

Jeszcze ciekawsze doświadczenia wykonał dr. K. z pewną damą. Należy dodać, że w żadnym z omawianych wypadków nie stosowano hypnozy. Dama rozmawiając z doktorem, pisała automatycznie poddawane słowa, nie wiedząc sama co pisze... Przy tej sposobności ujawniały się szczegóły, na których koncentrowała się myśl eksperymentatora, lecz nadto skojarzenia uboczne i myśli przelotne, półświadome.

Drugą część doświadczeń stanowiło czytanie listów przez kopertę. Aby uniknąć działania sugestyi, dr. K. polecił trzecim osobom pisanie listów, których treści sam nie znał i podawał je w zapieczętowanej kopercie owej damie. Ta trzymała zwykle kopertę przez kilka minut w ręku, kładła prawą dłoń na rodzaju płytki i po 5—6 minutach zaczynała wolno pisać treść, zgodną z zawartością listu. Niekiedy zdarzały się frazesy, które pozornie nie miały związku z treścią. Tak n. p. w jednym z listów był dodatkowo wplątany frazes: „Jutro muszę płacić komorne.“ Otóż autor listu przyznał się, iż w chwili, gdy mu zaproponowano napisanie kilku wierszy dla doświadczenia, myślał właśnie o czekającym go terminie komornego. To nasunęło drowi K. myśl, aby wykonać doświadczenie z pustemi kartkami, które „zapisano myślowo,“ t. j. na które patrzała dana osoba podczas intensywnego budowania treści myślowej. Podobno i te doświadczenia miały się udać.

Prof. berliński Dessoir, zajmujący się naukowo sprawą telepatii, wyraża się dość sceptycznie o doświadczeniach moskiewskich, czyniąc zastrzeżenie, iż musiałby wiedzieć o nich dokładniej, aby mógł wydać swój sąd objektywny. Prof. D. uważa w każdym razie korespondencyę telepatyczną przez drzwi za nowe zjawisko, które należałoby zbadać dokładniej. Natomiast powątpiewa stanowczo o naturze doświadczeń z kartkami „zapisanemi myślowo.“ Nie może tu być zupełnie mowy o jakiejś rzekomej „fotografii“ myśli. Telepatia może być obrazowo porównana z telegrafowaniem bez drutu, ale żadnych uogólnień dalszych na ten temat czynić niepodobna.

W każdym razie doświadczenia moskiewskie zwróciły już na siebie uwagę i prawdopodobnie staną się przedmiotem rzeczowych rozważań.

Wiadomości.

* **„Straż.“** Członkowie naszych nowo założonych towarzystw okręgowych i parafialnych, będą w najbliższym czasie w myśl regulaminu i katechizmu narodowego odwiedzać rodziny polskie. Jako legitymacya służą karty kwitowe z dokładnem oznaczeniem okręgu, ulicy lub wsi. Apelujemy do społeczeństwa polskiego, aby w imię szczytnego hasła narodowego, którym członkowie „Straży“ służą, przyjmowano ich jako prawdziwych przyjaciół rodziny i narodu polskiego!

Wydział organizacyjny i Zarząd „Straży.“

* **Zjazd Delegowanych „Zjednoczenia Tow. Kobiecych“** odbędzie się 7-go lutego r. b. (Miejscowość i godzinę podamy później). Na zjazd ten zapraszamy Delegowane wszystkich Stowarzyszeń Kobiecych i prosimy o przysłanie nam odpisów odnośnych protokółów walnych zebrań poszczególnych Stowarzyszeń, oraz legitymacyi Delegowanych, z których każde Stowarzyszenie winno nadesłać dwie Delegowane z upoważnieniem oddania głosów tylu, ile skończonych pięćdziesiątek członków płacących składkę Towarzystwo liczy.

Zarząd tymczasowy „Zjednoczenia“: Marja Halina Łebińska. Marja Kucnerowa. Marja Mizgalska.

Komisya przygotowawcza:

Anna Suchocka z Pleszewa. Klara Paczkowska. Helena Rzepecka. Marcela Gosieniecka z Gniezna. Stefania Wąsowiczowa z Inowrocławia. Władysława Wolska z Kościana. Wincentyna Teskowa z Bydgoszczy. Ida Zielkowa z Gdańska.

Listy nadsyłać należy na ręce pani Maryi Kucnerowej — Poznań, ul. Wilhelmowska 17.

* **W kasie oszczędności** Banku Przemysłowców w Poznaniu wpłacono w grudniu 1908 r. 2,120,944,31 mrk., a wypłacono 1,398,887,53 marek, w tymże miesiącu roku 1907 wpłacono 1,071,338,64 marek, a wypłacono 1,064,448,48 marek; od 1-go stycznia 1908 r. wpłacono 16,868,475,91 mrk., a wypłacono 13,681,895,34 mrk.; stan obecny na 31. 12. 1908 r. jest: 18,487,519,89 mrk., przed rokiem było marek 15,300,939,32. — Przybyło zatem w r. 1908 depozytów marek 3,186,580,57. — Na udziały wpłacono w grudniu 1908 r. 119,068,15 mrk., tak, że stan udziałów wynosi p. 31.12. 08. marek 5,882,116,88, w roku 1908 podwyższyły się udziały o 589,135,61 mrk.

* **„Chleb dla swoich“** (Ogłoszenie 41 z dnia 8-go stycznia 1909). Następu-

jący rodacy, posiadający zakładowy kapitał, znajdą bez współzawodnictwa swoich dobre utrzymanie: 1) lekarz, 2) weterynarz, 3) budowniczy, 4) kupiec towarów kolonialnych, 5) kupiec papieru, 6) kupiec żelaza, 7) kupiec towarów bławatnych i krótkich, 8) kupiec bławatów i garderoby, 9) hotelista, 10) kamieniarz-rzeźbiarz, 11) restaurator, 12) ogrodnik, 13) krawiec, 14) ślusarz, 15) zegarmistrz, 16) stolarz (trzeba założyć skład mebli), 17) kowal, 18) murarz, 19) cukiernik, 20) fryzyer-dentysta, 21) fryzyer, 22) szewc.

Bliższych informacyi udzieli **Biuro „Straży.“** Adres: **Dr. Tadeusz Jaworski Poznań. Posen.**

Prosimy o znaczek 20 fen. na odpowiedź.

* **Dla biednej** wdowy na wykupienie maszyny do szycia nadesłała pani H. Z. z Chełmna 5 mrk.

* **Lubawa.** W naszem mieście okazuje się coraz większa potrzeba bławatnika Polaka. Dzielny handlowiec ma tu korzystną przyszłość zapewnioną, gdyż dom, w którym interes bławatny z wielką korzyścią założony być może, jest obecnie na sprzedaż, lub do zadzierzawienia. Zgłoszenia nadsyłać należy Löbau W/Pr. Postfach Nr. 7.

* **Sopoty,** dnia 7-go stycznia 1909. Zawarte w odezwie naszej twierdzenie, jakoby dzieci do Sakramentów św. przysposabiano tutaj li tylko po niemiecku, prostujemy przyznając chętnie, iż przeszłego roku po raz pierwszy przygotowano czworo dzieci po polsku.

Towarzystwo ludowe w Sopotach.
H. Piechowski. A. Chmielewski.

* **Crefeld.** Z Petersburga donoszą o Janie Kronsztadzkim do gazety „Niederreihnische Zeitung“ nr. 11, co następuje: „Jan Kronsztadzki, o którego śmierci donosiły swego czasu gazety, był jedną z nadzwyczajnych postaci Rosyi i założycielem sekty „Joanistów.“ Gdy cesarz Aleksander III. leżał umierający — powołał do siebie *świętego męża,* na którego rękach też żywota swego dokonał. Jeszcze na początku panowania teraźniejszego cesarza Mikołaja miał kapłan ten, który umiał grzechy wielkich tego świata zawsze uniewinniać, bardzo wielu przyjaciół na dworze cesarskim. Pewnego dnia otrzymał cesarz Mikołaj II. list, w którym mu doniesiono, że Jan Kronsztadzki datki otrzymane od biednych, ze swą kochanicą Porfyryą przetrwonił. Natychmiast zarządzone śledztwo wykazało prawdziwość denuncyacyi i jeszcze więcej. Przedewszystkiem odkryto jeszcze inne sprawki tej sekty, które wprost były bluźnierczej natury. O. Jan był zresztą pierwszym, który podczas rewolucyi z Kronsztatu się ulotnił — a później nietylko swą kochanicę Porfyryą — ale inne jeszcze dobra ziemskie w bezpieczne przeniósł miejsce.“

Przyjaciel „Pracy.“

Reklamy.

Nekrologia.

† **Ś. p. Zygmunt Potrykowski,** radzca sądu ziemiańskiego, dnia 6-go b. m. we Wrocławiu, przeżywszy 54 lata. — **Ś. p. Ludwik Beierlein,** urzędnik gospodarczy, dnia 4-go b. m. w Boruszynie, w 66-tym roku życia. — **Ś. p. Rozalia Szafranek,** dnia 4-go b. m. w Wyskoci, w 79-tym roku życia. — **Ś. p. Jan Nepomucen Gostomski,** weteran z r. 1848, dnia 9-go b. m. w Ostrowie, przeżywszy lat 84. — **Ś. p. Stanisław Sokolnicki,** weteran z r. 1863, dnia 6-go b. m. w Poznaniu, przeżywszy lat 64. Pogrzeb odbył się dnia 9-go b. m. w Mądrem pod Środą. — R. i. p.

Od Redakcyi.

— **Panu St. Z. w Rixdorfie.** — O sprawie tej nie pisaliśmy, więc też nadesłanego protestu zamieścić nie możemy; udaj się Szan. Pan z tą sprawą do „Dziennika Berlińskiego,“ jako pisma w tej sprawie kompetentnego. Zasyłamy miłe pozdrowienie.

— **Panu Konstantemu T. w T. pod Stęszewem.** — Owszem, jeżeli rzecz ta nie będzie połączona z technicznemi trudnościami uczynimy zadość życzeniu Szan. Pana.

— **Panu Janowi M. w J.** — Adres jest taki: W. Schimmelpfeng, ulica Bismarka 1. I.

— **Panu J. F. w Strzałkowie.** — Są pertraktacye; wzmiankowany Komitet prawdopodobnie zamówi broszurki.

Panu J. Dz. w Hamborn. — O ile nasze informacye sięgają, w Zurychu nie wychodzi żadna polska gazeta. Za pocztówkę noworoczną dziękujemy i zasyłamy miłe pozdrowienie.

Kalendarzyk historyczny

Dnia 17-go stycznia 1649 koronacya Jana Kazimierza. — 1664 wojska polskie wkraczają w granice Moskwy. — 1732 urodzenie Stanisława Poniatowskiego. — 1734 koronacya Augusta III.

Dnia 18-go stycznia 1509 zawarty pokój w Moskwie. — 1576 stronnicy Maksymiliana zapraszają go na tron.

Dnia 19-go stycznia 1608 śmierć Bernarda Maciejowskiego, kardynała. — 1789 zwinięcie rady nieustającej. — 1831 Chłopicki złożony z dyktatury.

Dnia 20-go stycznia 1319 koronacya Władysława Łokietka. — 1507 uroczysty wjazd Zygmunta I. do Krakowa. — 1831 obywatele Litwy i Rusi podają adres do sejmu. — 1831 Radziwiłł naczelnym wodzem.

Dnia 21-go stycznia 1504 ogłoszenie statutu Aleksandra. — 1556 zjazd dyssydentów w Sycyminie. — 1633 hołd kurfirszta Brandenburskiego.

Dnia 22-go stycznia 1525 powstanie w Gdańsku. — 1600 śmierć Jerzego Radziwiłła biskupa krakowskiego. — 1816 pierwszy sejm prawodawczy rzeczypospolitej krakowskiej. — 1863 wybuch powstania styczniowego.

Dnia 23-go stycznia 1227 założenie klasztoru Dominikanów w Gdańsku. — 1440 Węgrzy zapraszają na tron Władysława III. — 1510 Bogdan, wojewoda Mułtan, zapewnia Polakom wolny handel w Besarabii. — 1649 Jan Kazimierz potwierdza prawa koronne. — 1824 Onacewicz wyświeca publicznie łotrostwa Nowosilcowa.

Humor i satyra.

Ulotne myśli.

Ludzie są zawsze niezadowoleni! Gdy deszcz pada, narzekają, że słońce nie świeci; zamiast cieszyć się, że śnieg nie miecie.

Gdy słyszysz o kim, że ma dużo przyjaciół, winszuj mu — nie ludzkiej miłości, lecz tego, że mu się widocznie dobrze powodzi.

* * *

Z albumu pensyonarki.

Nie wierz mężczyźnie moja Anielko,
Bo każdy chłopiec przysięga cienko,
Że cię wciąż kochać będzie na zawsze,
Lecz wkrótce miłość już mu się zatrze,
Bo gdy zostanie panem studentem,
Na pensyonarki patrzy ze wstrętem.

Czego ci życzy przywiązana do grobowej deski i do widzenia.

Mania z klasy IV-ej.

* * *

W szkole.

— Głuptasiński, powiedz mi, na co masz usta i język?

— Ażebym mówił, panie psorze.

— Nieprawda! „Ty“ masz tylko na to, ażebyś milczał, ośle jeden!

* * *

Zgodny człowiek.

— Czy to prawda, panie sekretarzu, że pan chce się rozwieść ze swą żoną?

— Ja sam tego nie chce, ale moja żona chce. Dla miłej zgody więc chcę spełnić jej życzenia.

* * *

Zemścił się.

— Gdyby pan był moim mężem tobym panu zaraz jutro wsypała trucizny do kawy.

— A gdyby pani była moją żoną, to chętniebym tę kawę wypił.

* * *

Perswazya.

Zabawną jesteś, moja droga. Dlatego, że masz odrazę do twego męża, chcesz go zaraz opuścić? — Przecież nikt nie wychodzi za mąż dla swojej przyjemności!

* * *

Racya.

— Dokąd wychodzisz mężu?

— Na posiedzenie, kochanie.

— Tak późno. O jedenastej wieczorem? Dziwne to posiedzenie...

— Wcale nie dziwne, gdyż właśnie koło północy najlepsze myśli przychodzą do głowy.

* * *

Amerykański humor.

Ona. Zawiodłam się na tobie. Sądziałam, że jesteś odważnym.

On. Zapewne miałaś o mnie to przekonanie, gdym ci się oświadczał.

* * *

— Wyobraź sobie, Jerzy, przez pomyłkę, dałam dzieciom ciasto, przygotowane dla psa, a psu ciastka, które sama upiekłam. Trzebaby wezwać doktora.

— Nie. Biegnę po weterynarza.

* * *

— Czy opłacają się kosztowne lekcye pańskiej córki?

— O tak, nabyłem właśnie za 12,000 dollarów dom sąsiada, który chciał za niego 32.000 dollarów przed lekcyami śpiewu.

* * *

Matka. Czy powiedziałeś Janowi, że go wydziedziczysz, jeżeli się ożeni z tą dziewczyną?

Ojciec. Nie, toby go nie wstrzymało. Chwyciłem się lepszego środka. Powiedziałem to jego ukochanej.

* * *

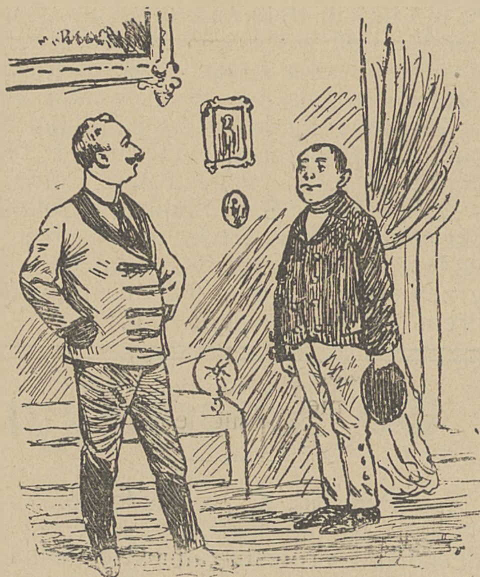
— Nie, kochany mężu, nie dam ci whisky. Lekarz zabronił. Powiada, że potrzebujesz zmiany.

— Ma słuszność. Sprowadź mi jutro innego lekarza.

Mądre dziecko.

Cztery lata licząca Mańka otrzymała od matki krótko przed udaniem się na spoczynek kromeczkę chleba do przekąszenia, a że małe dzieci lubią chleb rozkruszać, jest rzeczą wiadomą. Przypomniała to sobie Mańka i rzekła: — „mamo, połóż mnie w łóżko taty!“ — Matka, uczyniła w końcu zadość życzeniu swej ulubienicy. Po niedługim czasie, kiedy chleb zjadła, zawołała Mańka: — „Mamo, włóż mnie teraz w moje łóżeczko.“ — Cierpliwa matka uczyniła to i zapytała swe maleństwo o powód tego dziwnego żądania. — „Ależ mamo,“ — odpowiedziała córeczka z całą szczerością, — „nie chcę przecież mieć w swem łóżeczku okruchów z chleba, bo wie mama, one się zeschną, a potem to mię gryzą i szczypią.“

* * *



Zbyteczne kwalifikacye.

— Więc chcesz się zgodzić do mnie na służącego?

— A no... niech tak będzie!

— Ale mnie potrzeba służącego do wszystkiego.

— O!... proszę pana, ja jestem... i do tańca i do posłańca!...

* * *

Winiarz i podróżujący.

Winiarz do swego podróżującego:

— Co pana skłania do żądania zwolnienia z zajęć?

— Względy zdrowia, łaskawy panie.

— Jakto, względy zdrowia?

— Nic naturalniejszego; gdziekolwiek w podróży pokażę się z pańskiemi próbkami wina, żądają, abym go sam pierwszy kosztował. Truć się dobrowolnie nie mogę.

* * *

Blask księżyca.

Ona. — Pan nie ma zamiaru się ożenić?

On. — Owszem, gdybym tylko znalazł młodą, przystojną, wesołą kobietę.

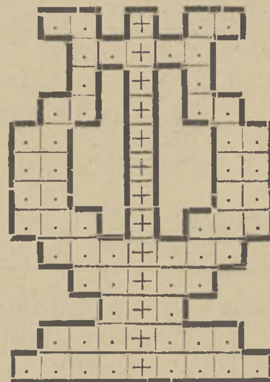
Ona. — Wychodząca zamąż kobieta musi być zawsze młoda, przystojna, wesoła, jak blask słońca; ale cóż panowie wnosicie do małżeństwa?

On. — Blask księżyca.

Łamigłówka.

Nadesłała czytelniczka „Pracy“, Karolina Kuczera z Huty Laury na Górnym Śląsku.

Z następujących 13. wytazów, których kropki i krzyżyki zastąpić należy literami, środkowe litery, czytane z góry na dół, utworzą nazwę pięknej miejscowości w Ojcowie.



ZNACZENIE WYRAZÓW.

1. Imię męskie, 2. Sławny muzyk włoski, 3. Bożek wiatru, 4. Kwiat, 5. Współczesny poeta polski, 6. Współczesny malarz polski, 7. Ptak, 8. Słynne obserwatoryum astronomiczne w Rosyi, 9. Poeta z czasów króla Zygmunda III., 10. Imię żeńskie, 11. Zaimek. 12. Najwyższa góra w pobliżu Chęcin, 13. Służy dla ozdoby gmachów.

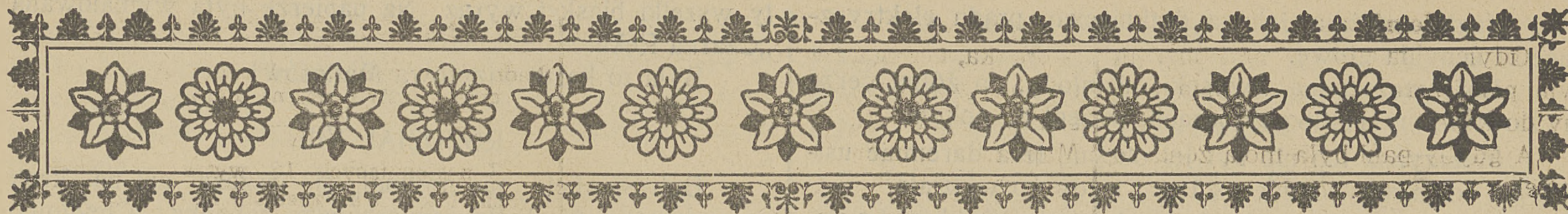
Rozwiązanie łamigłówki zamieszczonej w nr. 1-ym:

p
w a r
M a r e k
c z w a r t y
S a r a g o s s a
R e m u s r o m u l u s
E u r o p a a m e r y k a
p a r a g r a f d w u n a s t y
p a n W o ł o d y j o w s k i
W i c e k i w a c e k
K a r a m u s t a f a
m a r y n a r k a
m a k a r o n
L i s z t
i t o
y

„Paragraf dwunasty“.

Dobre rozwiązanie nadesłali: pp. Anna Wróblewska z Poznania, Józef Neumann z Redgoszczy, Jadwiga Badura z Rozdzienia i Maryanna Barbarska z Berlina.

Nagrodę otrzymali p. p. Anna Wróblewska z Poznania, Józef Neumann z Redgoszczy i Maryanna Barbarska z Berlina.



Czarna ręka.

Powieść amerykańska. Tłumaczyła z angielskiego **E. M.**

4

(Ciąg dalszy).

— Bardzo smutny fakt, że w takim mieście, jak New York dzieją się takie rzeczy i to pod okiem policyi! — odrzekł Lenis z gorżkim uśmiechem. — Nawet nasz sławny Perosini, który ma dziś wrócić, nie zdoła mi pewnie wrócić córki!

— O tak, mister Lenis, Perosini — to geniusz prawdziwy! Jeżeli istnieje człowiek na świecie, mogący pod względem przebiegłości i odwagi rywalizować z Mafiosami, to tym jest Flavio Perosini! Jestem przekonany, że on nietylko , że odnajdzie twoją córkę, ale nadto wytępi całe stowarzyszenie Czarnej ręki. Przedstawię panu sam tego dzielnego detektiwa.....

— Bardzo o to proszę, — zawołał Lenis szyderczo, — inaczej mogłaby mnie znowu ta znajomość kosztować pięćdziesiąt tysięcy dollarów. Albo co gorsze — mój pugilares!

Prezydent przygryzł usta i umilkł na chwilę. Ale potem wstał i rzekł:

— Pan sam utrudniasz nam znalezienie pugilaresu tem, że nie chcesz powiedzieć, co się w nim znajdowało.

— Oświadczyłem panu już raz, że były tam papiery, których treść jest tajemnicą!

— Była, mister Lenis — była — bo ten, który papiery posiada, zdradzi wszystko! Dla tego byłoby lepiej, gdyby je policya znała — mogłaby o wiele łatwiej szukać i znaleść dokumenty. Czytałeś pan już najnowszy numer Wiadomości z Chicago?

— Nie!

Z wymuszoną obojętnością wyjął prezydent z kieszeni gazetę i rozłożył ją.

Lenis nie spojrzał wcale na nią.

— Wiem, że pan nie czytujesz tej pokątnej i rewolwerowej gazetki, — odezwał się znowu Mac Olsey, — może nawet nie znasz jej wcale. W każdym razie, proszę, przejrzyj pan artykuł na drugiej stronie — opisują tam wszystko, co się działo przy zakładaniu towarzystwa, celem eksploatowania kopalni złota w Klondyke. Telegrafowałem natychmiast do mego kolegi w Chicago, aby odbył rewizyą w redakcyi tej gazety, i zanim tu przyszedłem, otrzymałem wiadomość, że znaleziono kopią listu, który pan pisałeś do swego zastępcy w Washingtonie. Czy w pugilaresie znajdowała się ta kopia — na szaro-niebieskim papierze?

— To — to — jest nieprawda — sfałszowane — to —

Z ust Lenisa dobywały się słowa urywane, niezrozumiałe — a cała jego postać pochyliła się tak, że zdawało się, że upadnie. Nerwowym ruchem ręki zdarł kołnierzyk z szyji —i odetchnął trochę lżej. Ale twarz jego była sina.

W tejże chwili wszedł jeden z jego pisarzy.

— Wybacz pan, — rzekł. — Jakiś ksiądz życzy sobie widzieć pana — przychodzi on w sprawie miss Lenis. A że właśnie jest tu pan prezydent policyi.........

— Gdzie jest ten człowiek?

— Jak się nazywa?

— Reverend Boas z Brooklyn East.

ROZDZIAŁ VII.

Gdy Ewa Lenis odzyskała przytomność, znalazła się sama w pokoju i w zupełnie innem otoczeniu.

Był to wytworny salon wielkomiejskiego hotelu, urządzony z niezmiernym przepychem.

Ale w chwili, w której chciała się podnieść z kanapy, na której leżała, pokryła się twarz jej rumieńcem wstydu i gniewu, i łzy stanęły w jej oczach. Spostrzegła bowiem nagle, że zabrano jej suknie kobiece i ubrano ją w strój męzki, a raczej chłopięcy. Nawet włosy miała obcięte zupełnie krótko.

Ewa głośnym wybuchnęła płaczem, i ukrywszy twarz w poduszkach, leżała długo, nie mając odwagi podniesienia głowy.

A gdy się wypłakała i uspokoiła trochę, usiłowała zebrać myśli i zoryentować się co do swego nowego położenia. Ale daremnie łamała sobie głowę nad tem — pomimo najszczerszej chęci nie mogła sobie przypomnieć, co się z nią działo od chwili, w której ją Henry Thorstbak opuścił. Zdawało jej się, że coś jest zatarte i wymazane z jej pamięci, bo tam, gdzie się pamięć kończyła, czuła dziwny jakiś strach i niepokój.

Gdzie był Henry? Kto śmiał obciąć jej śliczne włosy i ubrać ją tak niestósownie..........

Ale myśląc o tem, doznawała takiego uczucia, jak gdyby pytań tych głośno wymawiać nie mogła. Otwierała usta, aby myśli swoje wyrazić słowami, i zamykała je, bo tego właśnie wymówić nie potrafiła. Tajemnicza jakaś siła przeszkadzała jej i tłumiła każdy dźwięk, odnoszący się do tych właśnie pytań. Myśleć o tem mogła, lecz mówić nie.

Przerażona, wstała i obejrzała się po salonie, robiąc mimowoli taki ruch głową, jak gdyby chciała odrzucić spadające na czoło włosy. Było to tym razem zbyteczne i znów łzy stanęły jej w oczach. Ale zapanowała nad sobą. Poszła do zwierciadła i uśmiechnęła się nawet mimowoli do siebie — w stroju chłopięcym wyglądała rzeczywiście nie źle.

Z tem wszystkiem doznawała takiego uczucia, jak gdyby na nią ktoś patrzał. Odsunęła firanki przy oknach, zajrzała za kanapę — lecz nikogo nie znalazła.

A jednak......

Ktoś z pewnością musiał patrzeć na nią.

Pobiegła ku drzwiom, nacisnęła klamkę, lecz drzwi były zamknięte. Szarpnęła klamką raz jeden i drugi i wróciła do okna. Nie krzyczała — nie rzucała się — jakaś myśl dziwna nasuwała jej się do głowy — myśl, że powinna się zachować spokojnie, i nie wywoływać żadnych scen rozpaczy.

Spokojna więc i zrezygnowana, usiadła na fotelu, stojącym koło kanapy, złożyła drobne ręce na kolanach i zamyśliła się głęboko.

Nagle zadrżała, jak za dotknięciem prądu elektrycznego i uchyliła głowę.

Jakiś mężczyzna, wysoki, niemłody, o żółtej cerze i czarnych, przenikliwych oczach, wszedł do pokoju.

Mężczyzna ten nie był jej obcym, lecz daremnie usiłowała sobie przypomnieć, gdzie i kiedy go widziała.

Nowoprzybyły zamknął za sobą drzwi na klucz i z początku wcale na nią nie zważał. Przeszedł się kilka razy po pokoju, a potem usiadł przy biurku. Zachowywał się zupełnie tak, jak gdyby w własnym był domu.

Pomimo jednak, że był obróconym do niej plecami, wiedziała Ewa, że uwadze jego nie uszedł żaden jej ruch, żadne spojrzenie. To też siedziała na fotelu skulona i nie ruszała się wcale.

— Ćwiczyłeś się już, Arturze, — odezwał się teraz od biurka nizki, ostry głos męzki.

Nie dla tego, że oprócz niej i pytającego nikogo więcej w salonie nie było, przeczuwała Ewa instynktem, że pytanie to odnosiło się do niej. Imie „Artur“ należało teraz do niej tak, jak ubranie, jakie miała na sobie, a wymawiał je często ten sam głos nizki, monotonny i ostry. Pomimo to nie odpowiedziała mu na razie. Ciężka walka wrzała w jej sercu — walka własnej woli z czemś obcem, odejmującem jej wszelkie prawa i poczucie własnej osobistości. Coś przytłumiało jej wolę i ubezwładniało ją zupełnie. Lecz walka ta skończyła się natychmiast, gdy mężczyzna obrócił się zwolna ku niej i utkwił w jej twarzy swe czarne, przenikliwe oczy.

Wzrok ten bolał ją formalnie.

— Jesteś upartym, Arturze, — rzekł dobitnie. — Pytam raz jeszcze, ćwiczyłeś się?

— Nie.

— Czemu nie?

— Zapomniałem!

— Więc na przyszły raz proszę sobie spamiętać lepiej moje rozkazy. Nie wolno ci zapominać ani jednego mego słowa, rozumiesz?

Ewa była blizką zemdlenia. Gdy mężczyzna zauważył to, odwrócił się znowu i rzekł nieco łagodniej:

— Ćwicz się teraz!

Ewa wstała posłuszna , a chociaż nie wiedziała dotąd, że w salonie znajdują się skrzypce, poszła wprost do skrzyni, stojącej przy piecu, podniosła ciężkie wieko i wyjęła skrzypce, leżące na paczce nut.

Wprawnemi palcami spróbowała strun i uśmiechnęła się zadowolona. Skrzypce były nastrojone i dźwięk ich znakomity. Spokojna, a nawet swobodna, położyła je na ramieniu, zaczęła grać i grała wszystko, co jej się na pamięć nasuwało. I byłaby grała bez końca, gdyby ostry głos dzwonka nie był jej przestraszył tak, że skrzypce o mało z rąk jej nie wypadły.

Mężczyzna, siedzący zawsze jeszcze przy biurku, zerwał się także i zaniepokojony pobiegł ku drzwiom. Zanim je przecież otworzył, stanął przed Ewą i patrząc jej przenikliwie w oczy, zapytał:

— Więc jak się nazywasz?

— Artur Geusmore, — odrzekła bez namysłu.

— A kto ja jestem?

— Jesteś moim wujem Rochs — kapelmistrzem z Saint--Louis i odbywasz ze mną tournee koncertowe po Europie.

— Dobrze! I nie zapomnisz o tem nigdy?

— Nie.

Teraz otworzył drzwi, przez które podano mu list jakiś. Ale zaledwie go otworzył — cofnął się i jak nieprzytomny patrzał na rozłożony papier. Chciał się uśmiechać, lecz usta jego wykrzywiły się konwulsyjnie, a oczy straciły wszelki blask i wyraz Na papierze była wymalowana „Czarna Ręka.“

Była to karta wizytowa Mafiosów!

ROZDZIAŁ VIII.

Bob Stanfield nie posunął się jeszcze ani na krok w przygotowaniach do zamierzonego rabunku. Chwilowo oddał on się zupełnie upajającemu urokowi, jaki na niego wywierała cudownie piękna kobieta, która przytulona do jego ramienia siedziała obok niego w słabo oświetlonej kabinie, i z uśmiechem szczęścia słuchała jego namiętnych wyznań miłości.

Bob zapomniał zupełnie o naukach i radach swego towarzysza Fisha i o groźnych napomnieniach Irlandczyka, myślał on jedynie o Norze i wszystko inne było mu w tej chwili bardzo obojętne. Jego młode i gorące serce poznało po raz pierwszy potęgę i czar miłości. Czem byli dla niego towarzysze, Mafia, wszystkie skarby całego świata! Upojony jej blizkością, wonią jej włosów, dotykających jego twarzy, miał tylko na myśli tę jedną, jedyną, ukochaną, dla której poświęciłby z rozkoszą życie swoje!

Nie wiedział sam jak się to stało, że on, zimny dotąd i obojętny na wdzięki kobiece, dążący zawsze bezwzględnie do zamierzonego celu, dał się tak porwać uczuciu i tak szalenie pokochał tę „niemiecką“ baronową! Nora była śliczną, chociaż twarz jej wcale klasycznych nie posiadała rysów, znał tyle piękniejszych kobiet, lecz żadna nie miała tyle powabu i wdzięku jak ona! A jak była wykształconą i dowcipną! Rozmowa z nią zachwycała wszystkich, to też żadna z pań na okręcie tylu nie miała wielbicieli, jak ona.

Bob był obecnie najszczęśliwszym z ludzi.

Ale w tej chwili najwyższego szczęścia dał się nagle słyszeć z daleka — przytłumiony łoskotem maszyn parowca, krzyk mewy.

Krzyk ten powtórzył się.

Bob podniósł gowę. Znał on dobrze ten krzyk, znak Mafiosów i wiedział, co to znaczy. Zauważył teraz również, że noc ma się ku końcowi, i że na niebie ukazują się już pierwsze blaski jutrzenki.

Perosini, chodzący nieustannie na ganku, widział to także i drżał z niecierpliwości.

Krzyk mewy powtórzył się po raz trzeci.

Wtedy Bob westchnął ciężko i po raz ostatni przycisnął do ust rękę ubóstwianej kobiety. Wiedział, że musi uczynić to, co mu kazano, jeżeli nie chce się narazić na zemstę Mafiosów. Członkowie Mafii musieli być posłusznymi — najdrobniejsze przestąpienie przepisów karane było śmiercią, i nikt nie zdołał się ukryć przed ich zemstą. Czarna ręka była wszechpotężną.

Towarzysze przestrzegali go dzisiaj — wiedział zatem, że nie wiele pozostawią mu czasu do wypełnienia ich rozkazów.

W sercu jego ciężka toczyła się walka pomiędzy miłością i obowiązkiem. Lecz obawa nieuniknionej kary zwyciężyła. Bob stał się spokojniejszym i z zręcznością, którą zawsze jego towarzysze podziwiali, zabrał się do dzieła.

Ale Nora słyszała także krzyki mewy i zauważyła nagłą zmianę w zachowaniu się Boba. Była ona pojętną uczennicą Perosiniego, a czego się jeszcze nie nauczyła od swego mistrza, to przeczuła instynktem kochającej kobiety. Powodzenie Perosiniego było jej powodzeniem — więc też postanowiła wyjść zwycięzko z tej sprawy, aby zadowolić ukochanego.

Nie zmieniając wygodnej pozycyi na kanapie i nie zdradzając żadnego wzruszenia i niepokoju, słuchała z pozornym zachwytem przysiąg miłości pięknego Anglika, lecz bystrym jej oczom nie uszedł żaden ruch jego,

żadne spojrzenie. Czuła więc wyraźnie, że podczas kiedy prawe jego ramie obejmowało jej postać i stawało się ją bliżej jeszcze do niego przyciągnąć, szukała lewa jego ręka haczyka elektrycznego, w celu zgaszenia ostatniego jeszcze płomienia.

Na to przygotowaną nie była. Tak Perosini jak i ona myśleli, że Anglik, stósownie do zwyczaju Mafiosów, wydrze jej przemocą klejnoty. Postępowali oni zawsze równo odważni aż do ostateczności, rzucali się jak piorun na swoje ofiary i albo zabijali je, albo zabierali to, co chcieli, w jednem mgnieniu oka. Ta ich nieustraszona odwaga właśnie i niezmierna zręczność odbierały ofiarom wszelką przytomność umysłu i oddawały je na łaskę i niełaskę zuchwałym Mafiosom. Nie lękali się wcale światła dziennego to też Nora była zdumiona tem, że Bob zamierzał lampę zgasić. Wiedząc jednak, że Flawio czuwa nad nią, postanowiła schwycić zakochanego złoczyńcę na gorącym uczynku i nie traciła ani na chwilę zwykłego swego spokoju.

Ale w chwili, w której drut elektryczny zgasnął, uczuła na twarzy słodką, miękką, duszącą woń, i szybkim ruchem wyciągła rękę, aby zrzucić z stołu szklankę. Miał to być znak dla Flawia.

Lecz spóźniła się o sekundę. Zanim zdołała ująć szklankę, wypowiedziały jej muszkuły posłuszeństwo, i ręka bezwładnie osunęła się na fałdy sukni. Czuła tylko jeszcze, że Bob zerwał jej z szyji łańcuszek, na którym zawieszone były dwa kluczyki i potem straciła przytomność.

— — — — — — — — — — — —

Perosini daremnie czekał na znak Nory. Zniecierpliwiony, zirytowany, oddalił się na chwilę, chcąc zapytać o coś oficera pełniącego na okręcie nocną służbę, i mimowoli zatrzymał się u niego dłużej, niż należało. Wiedział bardzo dobrze, że oddalenie się to z kurytarza mogło być wielkim z jego strony błędem, że każdej chwili mogła go Nora wezwać do kabiny, lecz znał ją zanadto dokładnie, aby nie wiedzieć, że jeżeli na znak jej nie przybędzie natychmiast, to ona potrafi przedłużyć całe położenie rzeczy aż do jego przyjścia. Przedewszystkikem chodziło mu teraz o to, czy telegram jego wysłany został i czy już odpowiedź nie nadeszła. Sprawa, jaką mu szef policyi nowojorskiej polecił, bardzo była ważną — było to bowiem wyśledzenie córki miliardera Lenisa, którą Mafiosy porwali. Lenis wyznaczył ogromną nagrodę temu, który mu wróci córkę żywą i zdrową. Perosini wiedział, że od tego zależy przyszłość szefa policyi i jego własna, i dla tego postanowił sprawie tej poświęcić wszystkie swoje siły, chociażby mu nawet owi trzej złoczyńcy, których miał schwytać na parowcu „Następca tronu,“ ujść mieli.

Ale na pytanie jego, czy odpowiedź nadeszła, wzruszył oficer ramionami i rzekł:

— Jeszcze nie, kochany Perosini! Uczyniliśmy wszystko co w naszej mocy, aby wysłać telegram, ale w tak wilgotnem powietrzu — licho wie, gdzie on się obraca! Kapitan zaraz panu powiedział, że w deszczu nie ma się czego spodziewać.

Perosini zaklął po cichu.

— Fatalnie! — rzekł po chwili. — Za godzinę zbliżymy się do Palacyi — tak mi kapitan mówił, a ja jeszcze nie wiem, czego się trzymać. Wszystko dziś jak zaklęte — baronowa żadnego mi dotąd znaku nie dała.........

— Ah, to tak! Więc chcą ją okraść, chcą zabrać jej klejnoty! No, bądź pan ostrożnym i uważnym! Skoro tylko nadejdzie wiadomość, przyniosę ją panu tak, jak było umówionem, do kajuty salonowej.

Perosini skinął głową i oglądając się uważnie na wszystkie strony, wrócił na dawniejsze stanowisko.

Ale zaledwie spojrzał na drzwi kabiny, zadrżał przerażony — promyk światła bowiem, jaki poprzednio przedzierał się przez małą we drzwiach szparę, znikł teraz zupełnie. I w kabinie głęboka panowała cisza.

Perosini poznał natychmiast, że Norze groziło jakieś niebezpieczeństwo, że musiało się stać coś nadzwyczajnego, inaczej bowiem byłaby mu dała umówiony znak zrzuceniem szklanki. Wszakże była tak przezorną i ostrożną! Stało się więc coś, czego ani on ani ona nie przewidzieli.

Młody Włoch nie namyślał się długo. Zręczny jak kot przysunął się do drzwi kabiny, włożył wytrych w zamek, i otworzył je tak cicho, że nawet Bob tego nie słyszał. Klęczał on właśnie przy otwartym kufereczku Nory i drżącemi palcami wyjmował z niego banknoty i klejnoty, nie wiedząc, że wszystko — było fałszywe!

Jednym skokiem rzucił się Perosini na śmiałego złodzieja, przycisnął go do podłogi i zamierzał właśnie przestraszonemu złoczyńcy związać chustką ręce, gdy nagle przyszło mu na myśl obejrzeć się za Norą. Trzymając silnie obie ręce Anglika, zwrócił głowę w stronę kanapy, zdawało mu się bowiem, że słyszy czyjś oddech i domyślał się, że tam leży Nora. W kącie tym tak jednak było ciemno, że nie zobaczył nikogo.

Ta krótka zwłoka stała się fatalną dla niego.

Innym bowiem podpadło również zgaszenie światła w kabinie Nory — to jest Johnowi i Fishowi. John, który nie ufał Bobowi od chwili jego zakochania się w Norze, ukrył się już poprzednio w kurytarzu, — chcąc w danym razie zmusić Boba do wykonania rozkazów Mafii. I właśnie wtenczas kiedy Perosini odwrócił głowę w stronę kanapy, stanął John w drzwiach kabiny. Jednem spojrzeniem objął i zrozumiał całe położenie rzeczy i zanim się Perosini spostrzegł, miał go już John w swoich żelaznych rękach. Pochwyciwszy detektiwa za gardło, zaczął go dusić tak mocno, że zaskoczony znienacka Flawio musiał puścić ręce Boba. I teraz straszna rozpoczęła się walka. Flawio był silny i zręczny, lecz musiał uledz dwom napastnikom, z których każdy był mistrzem w sztuce boksowania. W przeciągu kilku minut leżał bezwładny na ziemi, z kneblem w ustach i z związanemi rękami.

— Trzymaj go tak, aby się ruszyć nie mógł, — syknął John przez zaciśnięte zęby. — Zamknę drzwi i potem obejrzymy sobie przy świetle tego ptaszka.

Klamka zapadła — światło elektryczne błysnęło i John pochylił się nad leżącym i związanym przeciwnikiem.

— Hallo! — krzyknął uradowany, — toć to nasz nowojorski detektiw! Więc on ścigał nas tu, a my nie domyślaliśmy się niczego! Fish starzeje się oczywiście i nie troszczy się już o nasze bezpieczeństwo. Musimy sami sobie poradzić z tym panem! Usuniemy go — na zawsze! Zdejm szelki, Bob i zwiąż mu ręce jeszcze mocniej! Zdejm moje szelki i zwiąż mu nogi!

A widząc rozpaczliwe i daremne szamotanie się Perosiniego, uśmiechnął się szyderczo i pochyliwszy się nad nim rzekł głośno:

— No, mister Perosini, jak to smakuje? Potrzebne ci było mieszać się do cudzych spraw?

Bob tymczasem, nie zważając na silne kopanie nogami detektiwa, związał go prędko i zręcznie tak, że nieszczęśliwy ruszyć się nie mógł.

— Co zrobimy z nim teraz? — zapytał.

John wskazał na okno kabiny.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Rozczarowanie.

14 **Powieść z spółczesnego haremu tureckiego.**

(Ciąg dalszy.)

Czterej wędrowcy, mimo ostry, zimny wiatr północny, który dął im w twarz, szli dzielnie naprzód i wkroczyli w obręb bezgranicznego cmentarza. Wreszcie ujrzeli cel swej wycieczki; już zdala jaśniały nowe płyty marmurowe ze złoconemi napisami. Andrzej zwrócił im na to uwagę i one przyspieszyły kroku, aby jaknajprędzej tam się dostać.

Tuż przed grobowcem stanęły czarne postacie, by odmówić pacierze w postawie przepisanej tj. z obu rękoma wyciągniętemi naprzód i otwartemi, jakby prosiły o jałmużnę. Modliły się długo i żarliwie za duszę zmarłej. Andrzej nie oczekiwał tego wcale; tem więcej przeto był wzruszony tak, że łzy stanęły mu w oczach. Aby nie dać tego poznać odwrócił się...

Jakoż gorące życzenie jego ziściło się, aczkolwiek wydawało się niemożliwem: grób był odnowionym i powierzonym pieczy tureckich kobiet, które bezwątpienia będą nad nim czuwać ze czcią. Czy stojąc tak nad tym tak długo opuszczonym grobem kobiety te nie robiły wrażenia bogiń wspomnienia?...

Gdy ukończyły modlitwę „Fatia“, zbliżyły się do tablicy i odczytały napis. Najprzód arabski cytat, który rozpoczynał się u góry płyty i ciągnął od góry do dołu. A potem następowało:

„Módlcie się za duszę Nedżiby Hanum, córki Ali‘ego Dżijangira Effendiego zmarłej dn. 18 Szabana 1297.“

Czerkiesi w przeciwstawieniu do Turków mają nazwiska rodowe, Dżenana wyczytawszy nazwisko Nedżiby była wielce zaintrygowaną:

— Muszę ci powiedzieć, że Dżijangirowie mieszkają w mojej wsi. Przybyli swego czasu z memi protoplastami z Kaukazu i mieszkają u nas od dwóch stuleci.

Tłomaczyło to jeszcze lepiej podobieństwo między nią a zmarłą Czerkieską. Jakiś nieodgadniony praszczur dawno w proch obrócony nadał przez kto wie ile pokoleń dwom młodym kobietom zupełnie odmiennej sfery te rzadkie przecudne oczy!

Posępnie i ciemno było na cmentarzu, na którym znajdowali się już od pół godziny bez ruchu i nagle Zeyneba pomimo podwójnej osłony dostała rozdzierającego kaszlu.

— Chodźmy! — rzekł Andrzej. — A, aby się rozgrzać, puśćimy się szybko!

Zanim odeszli, każda z nich chciała wziąść młody pęd cyprysa, któremi grób był pokrytym i gdy najmniej z nich zasłoniona Melek przysiadła, aby uszczknąć pędy, szkliły się w jej oczach wielkie łzy.

Zauważywszy to Andrzej uścisnął jej rękę z wdzięcznością.

Doszedłszy do powozów rozłączyli się, aby nie wystawiać się więcej na niebezpieczeństwo. Odebrawszy od nich przyrzeczenie, że jaknajprędzej doniosą mu o swym szczęśliwym powrocie na czas, Andrzej oddalił się przez Ejub podczas gdy one pojechały przez bramę Adryanopolską.

O szóstej był Andrzej z powrotem w swem mieszkaniu w Pera. Znużony rzucił się na dywan i raz jeszcze przeżył w myślach to co zaszło dnia tego. W końcu zaś rzekł: grób nietylko jest odnowiony, lecz powierzony pewnym osobom, na które można liczyć, ale obecnie zdaje się jakbym wyzbył się przez to wszystkich obowiązków względem zmarłej i zerwał ostatnią nić łączącą mnie jeszcze z przeszłością.

Andrzej zbliżył się do okna i wyjrzał na posępny obraz. Właśnie zaczynał śnieg padać. „Pierwszy śnieg — rzekł żałośnie — i tam śnieg pada na jej grób.“

Potem odszedł od okna, aby ubierać się na obiad i na bal w angielskiej ambasadzie.

. . . .

Nazajutrz otrzymał list o który prosił przyjaciółki. A nawet dwa listy w jednej kopercie, które brzmiały:

4 Ramadana, 9 wieczorem.

„Przyjacielu! Powróciłyśmy szczęśliwie, ale nie bez przykrości, bo było bardzo późno i czas, jakim mogłyśmy rozporządzać swobodnie, minął, wreszcie jedna z naszych przez nieostrożność zarżnęła się w palec. Wszystko ułożyło się ostatecznie, ale stare panie w domu i starzy wujowie powzięli podejrzenie.

Dziękujemy Ci, Andrzeju, z całego serca za zaufanie, jakie nam okazałeś. Teraz grób ten należy poniekąd do nas, często będziemy go odwiedzać, aby się na nim pomodlić, gdy opuścisz nasz kraj.

Dziś wieczorem, mam to uczucie jakbyś był bardzo daleko odemnie a przebywasz tak blisko... Z mych okien mogę widzieć oświetlone okna ambasady na wyżynie Pera, dokąd jesteś zaproszony i pytam się: jak to podobne, że szukasz rozrywki, mając smutek w sercu?

Powiesz może, że jestem bardzo wymagającą! Tak, rzeczywiście, ale nie dla siebie tylko dla innej.

Bez wątpienia w tej chwili jesteś wesół, otoczony pięknemi kobietami i kwiatami. A my? Wylewamy łzy w naszym zaledwie oświetlonym, chłodnym, ponurym haremie! Opłakujemy nasze życie. Jaka pustka, jaki smętek wokoło nas, dzisiaj bodaj większy niż zwykle! Czy to może dlatego, czujemy się tak nieszczęśliwe, że myśl o Tobie jest nieodstępną i tak bliską a Ty sam jednak jesteś tak daleko?...

Dżenana.

„A czy wiesz, co ja, Melek mam Ci do powiedzenia?... Jak możesz zabawiać się w rzęsistem oświetleniu salonów, podczas gdy my płaczemy nad trzema gałązkami cyprysu? Spoczywają tu przed nami w święconej kasetce z drzewa z Mekki; mają ostry, wilgotny zapach przenikający i usposobiający smutnie... Wiesz przecież, gdzie znaleźliśmy te pędy cyprysu?...

Jak ty możesz być dzisiaj na balu i nie oddawać się wspomnieniom nad bolem, jaki sprawiasz, nad sercami, które złamałeś na drodze życia... Nie mogę przypuszczać, abyś nie miał o tem myśleć jeźli my, obce i dalekie siostry, nad tem łzy ronimy.

XXXII.

Donosiły mu, że w ciągu Ramadanu jeszcze mniej będą miały swobody niż zwykle, wskutek wielu modlitw, czytania

świętych książek, postu całodziennego a mianowicie wieczornych zebrań towarzyskich, nabierających w tym miesiącu wielkiego znaczenia. Odbywają się bowiem biesiady, zwane Istar, przeznaczone na to, aby wynagrodzić pobożnym post całodzienny. Przybywa na nie wiele gości.

Tymczasem zdaje się, że Ramadan wpływa na tem większe podniecenie fantazyi, bo w głowach przyjaciółek Andrzeja zrodził się przerażający pomysł, aby przyjąć go raz w Kaffim-baszy u Dżenany o dwa kroki od pani Husnugul.

Stambuł w poście muzułmańskim jest nie do poznania. Po uroczystościach wieczornych następuje zupełna martwota przez cały dzień. Całe życie oryentalne ustaje, sklepy handlowe zamknięte, w licznych małych kawiarniach nie ma nargili ani rozmów, tylko kilku śpiących wyciągniętych na ławach. W domach panuje do zachodu słońca ten sam zastój co na dworze. Mianowicie u Dżenany, gdzie służba jest tak starą, jak panie, — wszyscy śpią, bezwąsni murzyni tak dobrze jak wąsaci stróże z pistoletami za pasem.

Dnia 12 Ramadana — w którym miało przyjść do skutku śmiałe przedsięwzięcie — mocno zakatarzona babka i zaziębiony wuj nie mogli opuszczać pokoju a nadto nieoczekiwana okoliczność przyszła im w pomoc: pani Husnugul od dwóch dni leżała w łóżku skutkiem niestrawności, jakiej się nabawiła przy „istarze“.

Andrzej miał stawić się punktualnie o drugiej godzinie. Miał polecenie, aby iść tuż przy murze, gdyż w przeciwnym razie mógłby kto spostrzedz z okien górnych — i nie prędzej wchodzić w duże drzwi domu, dopóki nie ujrzy przez zakratowane okno pierwszego piętra koniuszka białej chusteczki.

Tym razem miał rzeczywiście strach, zarówno ze względu na siebie jak na Dżenanę głównie to mając na uwadze, ile wrzawy narobiłaby w Europie i w całym świecie dyplomatycznym wieść o takim postępku członka obcego poselstwa, gdyby go przydybano.

Zbliżył się spokojnie do domu, bacznie strzelając okiem na wszystkie strony. Położenie domu sprzyjało przedsięwzięciu, bo dom jak inne sąsiednie, leżał naprzeciwko wielkiego cmentarza tej dzielnicy. Z tej strony przeto, zwłaszcza przy mgle panującej, nikt nie mógł go zoczyć.

Koniuszek białej chusteczki znajdował się przy oknie, nie było więc można już rejterować. Wszedł do domu jak ktoś ze zwieszoną głową rzucający się w otchłań i stanął w wielkim przedsionku starego stylu. Nie było stróża, tylko Melek w czarnym czarszafie stała za drzwiami i szepnęła mu szybko: „biegnij po schodach na górę!“ Pobiegli razem, po kilka stopni naraz biorąc, przeszli długi korytarz i dostali się do mieszkania Dżenany, która czekała z bijącem sercem i po ich wejściu szybko zamknęła drzwi, klucz dwa razy przekręcając. Poczem rozbrzmiał wesoło jej głos i kuzynek jak zwykle, gdy udało im się przedsięwzięcie. Dżenana ukazała z tryumfującą miną klucz, który trzymał w ręku, i wskazywała na zamek we drzwiach, bo było to czemś w haremie jeszcze niebywałem. Dopiero wczoraj udało jej się wywalczyć ten przywilej i była na to bardzo dumną.

Dżenana, Zeyneba nie mniej jak Melek po zrzuceniu z siebie czarszafów okazały się blade skutkiem ścisłego postu. Aby zrobić mu niespodziankę wszystkie trzy ubrały się po europejsku bardzo wytwornie i ufryzowały odpowiednio. Jedno tylko zdradzało Czerkieski: małe welony z białej gazy ze srebrnemi naszyciami, przytwierdzone na włosach i spadające na ramiona.

Andrzej zachwycony temi kostyumami spytał tylko przelotnie:

— Myślałem, że w domu nie nosicie wcale wualów?

— Owszem, zawsze. Ale tylko małe.

Najprzód zaprowadziły Andrzeja do salonu muzycznego, gdzie czekały na niego trzy inne panie, umyślnie na tę tajemniczą wizytę zaproszone: panna Bonneau de Saint-Miron, panna Tordien dawniejsza nauczycielka pani Melek i zawualowana pani Ubejda Hanum „diplomee de l'ecole normale“ profesorka filozofii w liceum żeńskiem w jakiemś mieście Azyi Mniejszej. Obie Francuzki były bardzo zaniepojone jaki obrót weźmie ta wizyta. Długo wahały się czy przyjść czy nie. Panna de St. Miron miała taką minę jakby mówiła: ja niestety jestem pierwotną przyczyną tego okropnego bezprawia, że Andrzej Shery znajduje się osobiście w mieszkaniu mej dawniejszej uczennicy“. Jednakże rozmawiały bardzo uprzejmie z Andrzejem, którego dawno już pragnęły poznać. A on miał wrażenie, jakby te „podstarzałe“ niewiasty miały serce i głowę na swojem miejscu. Nadto odznaczały się dobrem wzięciem i były doskonale wykształcone, chociaż odznaczały się przesadnim romantyzmem. Rozmawiały z nim także o książce jego projektowanej, której tytuł znały.

— Pewna część pańskiego „Rozczarowania“ już zapewne na papierze?

— Nie, jeszcze ani słowo — odparł z uśmiechem.

— To mi bardzo przyjemnie — rzekła Dżenana do Andrzeja swym dziwnym głosem, który brzmiał jak nadziemska muzyka. Napisz tę książkę gdy będziesz zdaleka od nas, wtedy przynajmniej przez kilka miesięcy jeszcze będzie łączył nas węzeł... a gdyby ci zabrakło materyału, nie zapomnisz przecież napisać do nas?

Andrzej z grzeczności zwrócił się kilkoma słowy do zakapturzonej kobiety, pytając czy kontenta jest ze swych uczennic, małych Turczynek w Azyi Mniejszej. Oczekiwał równie zdawkowej odpowiedzi jak jego pytanie, ale pani odparła poważnym, łagodnym tonem w doskonałej francuszczyznie:

— Aż nadto jestem kontentą... Dzieci uczą się za szybko i są na swój wiek za mądre. Ubolewam, że jestem narzędziem, które wszczepia w młode dusze pierwsze ziarna ich późniejszych cierpień. Żal mi tych małych pąkówek, które tym sposobem daleko wcześniej zwiędną niż ich poprzedniczki.

Następnie rozmawiano o Ramadanie. Opowiadano, że codziennie jest surowy post a przy tem roboty ręczne dla biednych i czytanie ksiąg świętych. W ciągu tego miesiąca musi każda muzułmanka przeczytać cały koran nie opuszczając ani jednego wiersza. Trzy przyjaciółki lubo zresztą sceptyczne w rzeczach wiary, czciły i podziwiały świętą księgę muzułmanina. Ich trzy korany spoczywały na przepisanem miejscu, a tam gdzie przerwały lekturę, założyły zieloną jedwabną wstęgą.

Na wniosek pani Melek musiał Andrzej wejść w kryjówkę, którą przygotowano dla niego na każdy wypadek. Był to wielki sztafaż z obrazem, ponad którym położono spadający aż na podłogę szmat materyi brokatowej.

— Jest to zbytkiem ostrożności z naszej strony, bo nikt nie przyjdzie — mówiła Melek, podczas gdy Andrzej oglądał kryjówkę w jednym narożniku salonu. — Jedynym z naszej rodziny, który mógłby przyjść, jest mój ojciec, ale on wyjeżdża z pałacu Jildis dopiero po wystrzale armatnim Mogrebu.

— A gdyby coś nieprzewidzianego sprowadziło go do domu wcześniej? — wtrąciła Dżenana.

— Chociażby nawet... — rzekła Melek z przebiegłym uśmiechem. — Nie wolno wchodzić do haremu bez poprzedniego zaanonsowania się. W tym wypadku kazałybyśmy mu powiedzieć, że jest obca pani Turczynka np. Ubejda Hanum. A wtedy z pewnością nie przyjdzie. Nie boję się tego wcale!

Zwracając się do Andrzeja dodała:

— Najgorsze wyjście!...

Pomiędzy nutami leżącemi na fortepianie znajdował się rękopis skomponowanego przez Dżenanę nokturnu, który Andrzej chciał usłyszeć z pod jej własnych palców. Było to jednak niepodobieństwem, bo w czasie Ramadana nie grywa żadna pani a zresztą byłoby się pobudziło cały, w śnie pogrążony dom!

Dżenana wyraziła życzenie, aby jej przyjaciel usiadł na moment przy jej biurku i to w tem miejscu gdzie dawniej pisywała listy do Andrzeja Shery'ego w swym pamiętniku, listy nigdy nie wysłane. Zaprowadzono go zatem do wielkiego pokoju, w którym wszystko było białe, lśniące i zupełnie nowoczesne. Musiał popatrzeć przez okratowane okna na cichy cmentarz naprzeciwko i prastare cyprysy, na wody Złotego Rogu i na Stambuł we mgle zatopiony. Wreszcie spojrzał także do wnętrza domu, do ogrodu ze staremi drzewami i niebotycznemi murami, dzielącemi siedzibę od sąsiadów. Błogosławił niemal swój śmiały krok, który go tu sprowadził. Zawdzięczał mu bowiem, że poznał dom i mieszkanie swej miłej przyjaciółki; przynajmniej teraz, gdy zdala od niej powróci tu myślami, powstanie wraz z obrazem biednych cierpiących istot tło ich pomieszkania w jego wyobraźni i tak uwydatnią się lepiej ich osoby.

Lecz trzeba było oddalić się. W tem otoczeniu Andrzej zapomniał prawie o grozie swego położenia. Ale teraz gdy chodziło o to, aby się wymknąć, zbudziło się w nim uczucie, że znajduje się w pułapce, której wyjście zwężyło się i którą naszpilkowano ostrzami.

Po kilku wycieczkach wywiadowczych trójki, oznajmiono, że wszystko składa się dobrze, jedyną osobą niebezpieczną jest murzyn Juzuf, który już na swym posterunku pilnuje wielkiej hali na dole nieodstępnie. Trzeba zatem zaraz wymyślić dla niego jaki sprawunek, aby go się pozbyć i na dłuższy czas przed nim zabezpieczyć.

— Już mam! — zawołała Melek nagle i ciągnęła: Idź teraz Andrzeju do swej kryjówki a my przywołamy Juzufa. Będzie to szczytem przebiegłości!

Gdy Juzuf wszedł, rzekła do niego:

— Mój dobry Juzufie, musimy posłać cię z nagłem poleceniem. Idź szybko do Pera, aby przynieść nam nową książkę, której tytuł wypiszę ci na karteczce. Gdyby było potrzeba wstąp do wszystkich księgarni na Wielkiej ulicy, ale bądź co bądź nie powracaj bez książki.

Z największym spokojem i bez uśmiechu wypisała na karcie: „Rozczarowanie“ najnowsza powieść Andrzeja Shery'ego!

Juzuf oddalił się szybko z kartą.

Jeszcze raz trójka zrekognoskowała korytarze, Melek wydała różnym innym polecenia, które ich trzymały zdala i w końcu, uchwyciwszy Andrzeja za rękę zbiegła z nim z szalonym pospiechem ze schodów do drzwi, wypchnęła go szybko i zamknęła za nim drzwi.

Andrzej odszedł, tuż przy starym murze trzymając się wiernie i pytając się czy hałas drzwi nieco za mocno zatrzaśniętych nie zaalarmował całej służby i czy nie wypadnie za nim cała banda murzynów z kijami i rewolwerami w pogoń...

Następnego dnia przyjaciółki przyznały się mu do kłamstwa odnośnie do małych, czerkieskich wualów, których w domu kobiety istotnie nie noszą. Ale dla muzułmanki jest jeszcze wiele gorszą rzeczą ukazywać mężczyznie całą fryzurę a zwłaszcza kark aniżeli twarz i dlatego nie mogły się na to zdecydować.

XXXIII.

14 Ramadana 1322 (22 list.) 1904.

„Przyjacielu! Z pewnością wiesz, że jutro upływa połowa Ramadana i w tym dniu wszystkie Turczynki urządzają wycieczkę. Czy nie będziesz jutro w Stambule pomiędzy drugą a czwartą, aby przejść się od Bajazidu do Szazada-Baszy?

W tej chwili jesteśmy bardzo zajęte naszemi „istarami,“ ale niebawem przyprowadzimy do skutku ładną wspólną wycieczkę na brzeg azyatycki. Jest to pomysłem Meleki. Zobaczysz jak wszystko będzie doskonale ukartowane!“

Dżenana.

W dzień oznaczony wiał wiatr z południa i panowała słoneczna pogoda jesienna, ciepło i jasność a więc czas pożądany dla nadobnych kobiet, które mają tylko dwa czy trzy dni takiej wolności w roku. Promenada odbywa się w zamkniętym powozie z eunuchem na koźle obok woźnicy, ale wolno kobietom podnieść firankę w górę i spuścić szybę. Od Bajazidu ciągnie się ta procesya do Szazada-Baszy o jeden kilometr odległego i położonego w środku Stambułu, w czysto tureckiej dzielnicy, a więc przez staroświeckie ulice, gdzie znajdują się olbrzymie świątynie, cieniste żywopłoty cmentarzy i święte fontanny.

W tych zwykle spokojnych dzielnicach tak mało nadających się do ruchu nowoczesnego istną niegodziwością była owa procesya powozów, które nagromadziły się tam w ten dzień Ramadana. Setki karetek i landar napływają ze wszystkich stron miasta, nawet z pałaców nad Bosporem leżących a w nich jedynie wystrojone panie w jaszmakach aż do oczu zawualowane dość przejrzyście tak, iż można odgadnąć resztę twarzy. Wszystkie piękności haremów są dnia tego prawie widzialne, Czerkieski różowe jasnowłose, Turczynki blade, ciemnowłose.

Bardzo niewielu mężczyzn przechadza się przed otwartemi oknami powozów lub między pojazdami i ani jeden Europejczyk. Z drugiej strony mostu, w Pera, ludzie nigdy nie wiedzą co się dzieje w Stambule lub nie chcą wiedzieć.

Andrzej szukał swych trzech przyjaciółek, które niezawodnie ubrały się wspaniale, aby mu się podobać — myślał sobie. Szukał ich długo a nie mógł odnaleść; tak wielkim był napływ powozów. O tym czasie, gdy promenujące panie poczęły wracać do swych haremów, oddalił się również nieco zawiedziony, ale ponieważ dostało mu się tyle spojrzeń pięknych oczu, które przyjaźnie się uśmiechały tego pięknego dnia i radość swą naiwnie objawiały z tego powodu, że raz było im wolno przejechać się na świeżem powietrzu — zrozumiał tego wieczora lepiej niż przedtem całą okropną nudę zamkniętych kobiet w haremach.

XXXIV.

Trzy przyjaciółki znały na wybrzeżu morza Marmora, na azyatyckiej stronie mały opustoszały plac, dobrze osłonięty od wiatrów odstraszających od Bosforu, gdzie panują zefiry miłe jakby w oranżerii. W okolicy tej mieszkała jedna z przyjaciółek ich, która zobowiązała się w danym razie poświadczyć gdzie się znajdowały, stanowczo i nieustraszenie twierdzić, że przez cały czas miała przyjaciółki u siebie. Postanowiono przeto odbyć do tego miejsca ostatnią wspólną przechadzkę przed zbliżającem się rozłączeniem, które mogło łatwo stać się ostatecznem...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

